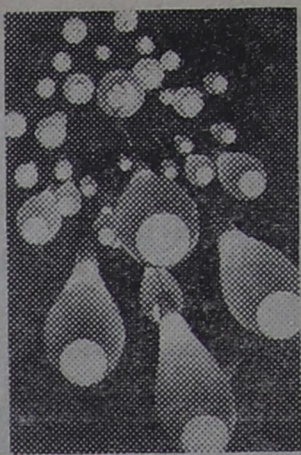




**pokolenie
czasu
odnowy**



**poza
układem**



**zostań
z własnym
sumieniem**



**do śmiechu
i łez**



wykwity

14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

13

(89)

KONTAKTY

27 VI 1982

Cena 12 zł



FOTOREPORAŻ GABORA LÖRINCZEGO — STR. 3

**jeszcze będzie zabawa
na naszej ulicy**

ZYGMUNT SZYCH

wyznania szefa

W cyklu „Reforma z bliska” kontynuujemy druk intrygujących refleksji Jana Kowalskiego, dyrektora Zakładów Płyt Wiórowych w Grajewie, nt. nowych rozwiązań ekonomicznych.

**naganianie
do
myślenia**

Nie wyjść na ofiary. Łatwiej to powiedzieć, niż nie dać się w praktyce samemu zapędzić do rogu. W naszym zakładzie żyjemy obecnie jednym problemem: musimy uzyskać środki na to, by uwolnić się wreszcie od spłacania długów, zaciągniętych na jego budowę. Czy wówczas, gdy — powiedzmy, za te trzy-cztery lata — stanie się to faktem, będziemy mogli piąć się w górę bez żadnych przeszkód, odcinając jedynie jedynie coraz większe kupony?

Jest podobny do naszego zakład w Jasle, już spłacony. Ma jednak do pokonania następny próg: zebrać pieniądze na odtworzenie parku maszynowego, bo po dziesięciu latach eksploatacji musi zrobić przynajmniej reprodukcję prostą, chyba że nie mają tam zielonego pojęcia o ekonomice.

Jaka jest nasza perspektywa? Jeżeli z 2,5 mld złotych — wartości środków trwałych — wyłączę nawet obiekty budowlane o okresie amortyzacji o wiele dłuższym, to i tak pozostanie jakieś 1,5 mld w maszynach i urządzeniach, dla których okres spłaty wynosi średnio dziesięć lat. Powiedzmy, że wytrzymają piętnaście, to i tak musimy już na ten cel odkładać po 100 mln złotych rocznie. Zamiast głowić się nad tym, co będzie za pięć-dziesięć lat, można sobie powiedzieć tak: „W tym roku remontu nie zrobię i zaoszczędzę te

STR. 8—9

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

GRAJEWO. 1 lipca w Urzędzie Miasta i Gminy w godz. 12.00—15.30 dyżurował będzie dziennikarz „Kontaktów”. Zapraszamy do pokoju nr 8, można telefonować pod nr 29-05. Natomiast w Wysokim Mazowieckiem: 29 czerwca br. w pokoju rady narodowej, w budynku Urzędu Miasta i Gminy, w godzinach 12.00—16.00.

EGZEKUTYWA KW PZPR W ŁOMŻY poświęciła swe obrady ocenie aparatu partyjnego oraz analizie skuteczności załatwiania skarg i wniosków napływających do instancji partyjnych. Dyskutanci zastanawiali się nad przyczynami wysokiej fluktuacji pracowników aparatu partyjnego. Od stycznia 1981 r. do 20 maja br. odeszło łącznie 33 towarzyszy, w tym 13 z Komitetu Wojewódzkiego i 20 z instancji terenowych. „Karnawał demokracji” jak to określono, spowodował, że wielu wartościowych i doświadczonych towarzyszy nie przeszło w ostatniej kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Zabrakło również motywacji ekonomicznej. Wbrew powszechnym opiniom płace pracowników aparatu partyjnego nie są wysokie (średnia płaca — bez rekompensat — wynosi obecnie 10.542 zł; I sekretarz KW PZPR otrzymuje 14 tys. zł plus dodatek specjalny 4,5 tys. zł; instruktorzy po 8,5 tys. zł).

W aparacie partyjnym województwa, nie licząc sekretarzy KW, pracuje łącznie 126 osób zatrudnionych w 7 wydziałach, 40 instancjach terenowych i 2 komitetach zakładowych. Stanowi to 85 procent pełnego zatrudnienia. Niepełna obsada stanowisk wynika z przestrzegania wysokich wymagań, jakie stawia się kandydatom do aparatu partyjnego.

Członków egzekutywy niepokoił niski odsetek pracowników aparatu ze środowiska robotniczego. Tylko 4 osoby przed podjęciem pracy były brygadystami, bądź robotnikami, a 7 mistrzami. Trzeba jednak dodać, że pracownicy aparatu partyjnego, podobnie jak cała inteligencja w województwie, mają robotniczo-chłopskie rodowody.

Drugą część obrad Egzekutywa poświęciła analizie skuteczności załatwiania skarg i wniosków. W ostatnich 4 miesiącach Komitet Wojewódzki odnotował 76 skarg na piśmie. Autorzy pisały najczęściej o problemach dotyczących stosunków panujących w zakładach (najwięcej anonimów), proszą o pomoc w uzyskaniu pracy, odwołują się od kar dyscyplinarnych; rolnicy skarżą się przeważnie na nieprawidłowy rozdział sprzętu rolniczego i materiałów budowlanych. Wiele osób zwraca się z prośbą o pomoc w uzyskaniu mieszkania.

kalendrium

☆ 22 VI 1941 r. najazd Niemców hitlerowskich na ZSRR, nalot samolotów na Łomżę. 24 VI wkroczenie do miasta Niemców.

☆ 24 VI 1807 r. wojska francuskie wkroczyły do Łomży. Rosjanie wycofali się, w stronę Ostrołki. Łomża staje się stolicą departamentu łomżyńskiego w granicach Księstwa Warszawskiego. Rajmund Rembicki — prezesem departamentu, w 1820 marszałkiem Sejmu.

☆ 25 VI 1593 r. zebrani na łomżyńskim ratuszu rajcowie oraz burmistrz i przedstawiciele rzemiosł: stelmachów, bednarzy, tokarzy, kłodziejów, szkatulników (zameczników), stolarzy — uchwalili Statut Cechu Rzemiosł Różnych, zatwierdzony przez Zygmunta III tego samego roku.

☆ 25 VI 1922 r. nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika Stacha Konwy w Lesie Jednaczewskim koło Łomży, wzniesionego dzięki staraniom doc. dr. Adama Chętnika. Pomnik wykonany został z kilkusetletniej barci. Wytyczony napis informował: „Tu spoczywa bohater Kurpiowski Stach Konwa, zginął śmiercią chwalebną w r. 1733”. Pomnik został zniszczony w czasie II wojny światowej.

☆ 25 VI 1794 r., uczestniczące w Powstaniu Kościuszkowskim pospolite ruszenie zaatakowało posterunek pruski w Piątnicy.

☆ 26 VI 1980 r. ukazał się pierwszy numer „Kontaktów” z datą 29 czerwca.

☆ W czerwcu 1970 r. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej ufundowało sztandar dla miasta.

☆ W czerwcu 1977 r. powstało Łomżyńskie Towarzystwo Muzyczne i Łomżyńska Orkiestra Kameralna.

● W następnym numerze: „Wyrok na kielbasie”, czyli ciąg dalszy „wypadków” w łomżyńskiej masarni; „Bomba B.” — rozważania o biurokracji; „Boję się kochać”; „Kikutem w opasle biurko”; „Krzywula dla marszałka” — z cyklu „Pasje współczesne”; Zalecenia matrymonialne dla RAKA.

Członkowie egzekutywy sygnalizowali fakt, że skargi przesyłane przez instancje partyjne do urzędów spotykają się z taką postawą: jesteśmy niezależni, zrobimy więc wszystko, by udowodnić, że skarżący nie miał racji. Dlatego w wielu przypadkach sprawa zostaje załatwiona dopiero wówczas, kiedy pociśnięcie się zwierzchników, szefa szefów. Najwyższy czas zacząć rozliczać takie przypadki, egzekwować właściwy stosunek do skarg od urzędników przyjmujących skargę. A najważniejsze — ta-

wało serów, oleju, przetworów warzywnych oraz artykułów objętych reglamentacją, z wyjątkiem kawy i cukierków czekoladowych. Wyjątkowo nie wyglądają dostawy artykułów nieżywnościowych: sprzętu gospodarstwa domowego, sportowo-turystycznego, tkanin, odzieży, obuwia, środków ochrony roślin, pasz, nawozów.

W uspołecznionych przedsiębiorstwach handlu detalicznego w maju sprzedaż towarów osiągnęła wartość 13146 mln zł. Pomimo wysokiego



KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI, przewodniczący Tymczasowego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, został wyróżniony odznaką „Zasłużony dla województwa łomżyńskiego”; za szczególny wkład w programowaniu i rozwijaniu kultury regionu. Inicjatywa uhonorowania K. Krzyżagórskiego — wieloletniego redaktora naczelnego „Kontrastów”, a później także stałego współpracownika „Kontaktów”, zrodziła się przed stanem wojennym.

NA ZDJĘCIU: Klemens Krzyżagórski (pierwszy z prawej) z wizytą u I sekretarza KW PZPR.

kie zapadły dyspozycje egzekutywy — jest pilnowanie, by likwidować źródła skarg, czyli zwalczać przyczyny a nie tylko skutki.

MAJ W GOSPODARCE województwa. Sprzedaż wyrobów, robot i usług własnej produkcji, w jednostkach przemysłu uspołecznionego osiągnęła wartość 1735,4 mln zł i była niższa aniżeli w maju ubiegłego roku o 8 proc. Zmalała również wartość sprzedaży w porównaniu z miesiącem poprzednim. Korzystniejsze wyniki produkcyjne osiągnęły jednostki przemysłu drobnego, które odnotowały wzrost wartości sprzedaży.

Do punktów skupu rolnicy dostarczyli w maju 192 tony zboża, podczas gdy w ub. roku ani kilograma. Skupiono także 3467 ton żywego rzeźnego, 21570 tys. l. mleka. Niekorzystnie kształtował się skup jaj — spadek w maju o 30,3 proc. Rolnikom sprzedano mniej nawozów sztucznych o 11,2 proc. niż w tym samym okresie roku ubiegłego. O ponad 40 procent spadła sprzedaż pasz przemysłowych.

Uspołecznione budownictwo przekazało do użytku 4 budynki mieszkalne o powierzchni użytkowej 7430 m kwadratowych. W maju rozpoczęto budowę 5 spółdzielczych bloków mieszkalnych o 181 mieszkaniach. W Łomży — 2 budynki; w Grajewie, Kolnie i Zambrowie po jednym. Nie rozpoczęto natomiast budowy żadnego obiektu użyteczności publicznej. Zaopatrzenie rynku w artykuły żywnościowe utrzymało się na takim samym poziomie, jak w miesiącach poprzednich. W sklepach nie brako-

wzrostu cen usług i części zamiennych w Przedsiębiorstwie Państwowym „Polmożbyt” zanotowano spadek obrotów o 50,3 proc.

OCHOTNICZE HUFCE PRACY rozpoczynają akcję letnią. W tym roku chętnych, którzy chcieliby w wakacje zarobić, jest znacznie więcej niż miejsc w pracy. Na 160 propozycji, rozesłanych przez Komendę Wojewódzką OHP w Łomży do różnych zakładów pracy, tylko 6 wyraziło zgodę na zorganizowanie hufca w tegoroczne wakacje. W związku z tym w lipcu i sierpniu w hufcach uczestniczyć będzie 420 osób. Junacy podejmą pracę w nadleśnictwie rajgrodzkim, łomżyńskim i szepietowskim; w zakładach przetwórstwa owocowo-warzywnego w Zambrowie i Drozdowie oraz w gastronomii Ośrodka Wypoczynkowego BGŻ w Rajgrodzie. 300 osób wyjedzie na wakacyjne zarobki do innych województw, m.in. do toruńskiej Elany, Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsko-Białej, ostrołęckiego ośrodka wypoczynkowego, suwalskiego nadleśnictwa. Natomiast Łomżyńskie przyjmie 3 hufce z sąsiednich województw.

KW OHP prowadzi również zagraniczną wymianę hufców. Tego lata 21 osób znajdzie pracę na Węgrzech przy budowie dróg (chłopcy) i winoroślach (dziewczeta). 20 junaków spędzi część wakacji przy produkcji soków i napojów owocowych w Czechosłowacji, a 5-osobowy hufiec odwiedzi NRD; będzie wykonywał prace w kolejnictwie.

CIĄG DALSZY NA STR. 15

PUNKT WIDZENIA

mówią sekretarze organizacji partyjnych

JAN SZARNOWSKI, sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Wąsoszu: — Nasza organizacja liczy 196 członków. Od sierpnia 1980 roku odeszło od nas 80 osób. Większość nie potrafiła podać przyczyn wystąpienia. Z tego co mówili można wywnioskować — wystąpili, bo partia nie zafatowała im maszyn czy cementu. Byli też tacy, którzy odeszli po naciskach rodziny. Staramy się organizować możliwie najczęściej spotkań z członkami partii, z bezpartyjnymi. Tematy zebrań są różne, ale na każdym poruszona jest aktualna sytuacja polityczna w kraju; zawsze uczestniczą w nich członkowie Komitetu Gminnego. Zobowiązujemy członków partii do przodowania w sferach środowisk. Przyjęliśmy taką zasadę działania: gdy zostanie złożona skarga, instytucja, której ona dotyczy ma obowiązek odpowiedzieć skarżącemu i powiadomić o tym Komitet Gminny. Niezależnie od tego na posiedzeniu POP czy Komitetu Gminnego rozpatrujemy sposób jej załatwienia. Nie zapominamy o problemach gminy: adaptujemy budynek w Łasku, który przeznaczamy na bibliotekę; w Wąsoszu przeniesiemy bibliotekę z zagryzionego pomieszczenia do nowego.

KAZIMIERZ SŁODZINSKI, sekretarz w POM-ie w Szczuczynie: — Po tych burzach zostało nas 33 członków. Odeszło ośmiu: oddali legitymacje, nie uzasadnili dlaczego. Poza tym u nas nie się nie zmieniło. Organizujemy ośmiu zebrań na temat związków zawodowych. Każdy ma swoje zdanie na ten temat, ale większość uważa, że powinni być branżowe. Czy górnik powinien należeć do związku zawodowego, w którym są lekarze czy artyści? Jakże problemy będą go z nim łączyły? Na zebraniach przychodzi nie tylko członkowie — bezpartyjni też zwracają uwagę. Sam slyszalem, jak jeden z nich mówił po zebraniu: „Nieźle gadają, gdyby tak było w życiu”.

KAZIMIERZ GADINSKI, sekretarz Komitetu Miejskiego Gminnego w Szczuczynie: — Największe nasze zadania to POM i SKR. Wiemy, że mają swoje problemy, ale uważamy, że powinniśmy pomóc w ramach swoich możliwości miastu. Komitet Miejsko-Gminny występuje w roli mediatora między nacelnikiem a kierownictwami, załogami tych zakładów. Te aż np. waga się losy podłączenia spółdzielczego bloku do kotłowni POM. Obecnie jedna z najważniejszych spraw jest podniesienie autorytetu partii na wsi, tym samym przyciągnięcie obywateli z tego środowiska do organizacji. W tej chwili na 436 członków mamy 74 pochodzących ze wsi. Ludzie mają wiele problemów, ale wadze dotychczas niechętnie odwiedzali ich w miejscu zamieszkania. Postanowiliśmy odwiedzić z wyjątkiem, jeśli mieszkające wsi, żeby skargę wówczas na wieś, na obanie jedzie bieżnik instytucji, której skarga dotyczy — dyrektor SKR-u, prezes GS-u, naczelnik gminy.

wolny rynek

Na łomżyńskim targowisku w ubiegły piątek skończył się rozsadowy sezon. Ostatnie sadzonki pomidorów, pozbilke już od wtorkowego targu oferowano po 8 zł. Rozkwitnięte rozsady roślin zielonych — od 2 do 8 zł za sztukę. W dużej obfitości pojawiła się na straganach młoda kapusta. Ceny różnicowane od wielkości główki: od 25 zł do 40. Truskawki pojawiały się w wysokich cenach już za sobą. Łomżyńscy działkowicze sprzedawali je po 90 zł za kilogram, natomiast plantatorzy — po 120. Zmniejszała się znacznie, w porównaniu do poprzednich tygodni, podaż artykułów nabiałowych. Jaja, w niewielkich ilościach, oferowano po 18—20 zł za parę Słoiczek śmietany nieco więcej niż pół litra — 110 zł. Niewiele było również drobiu. Za młode kogutki żądano 350 zł za sztukę. Rzemieślniczej produkcji figi z tkaniny frotté, rozmiary dziecięce, kosztowały 150 zł. Nasi łomżyńscy drobni spekulanci wyciągają z tego ostatnie koszyki — ceny przystępne — 700 zł. Wyjątkowo tanio oferował rolnik 4 warchlaki. Tylko za 10 tys. zł!

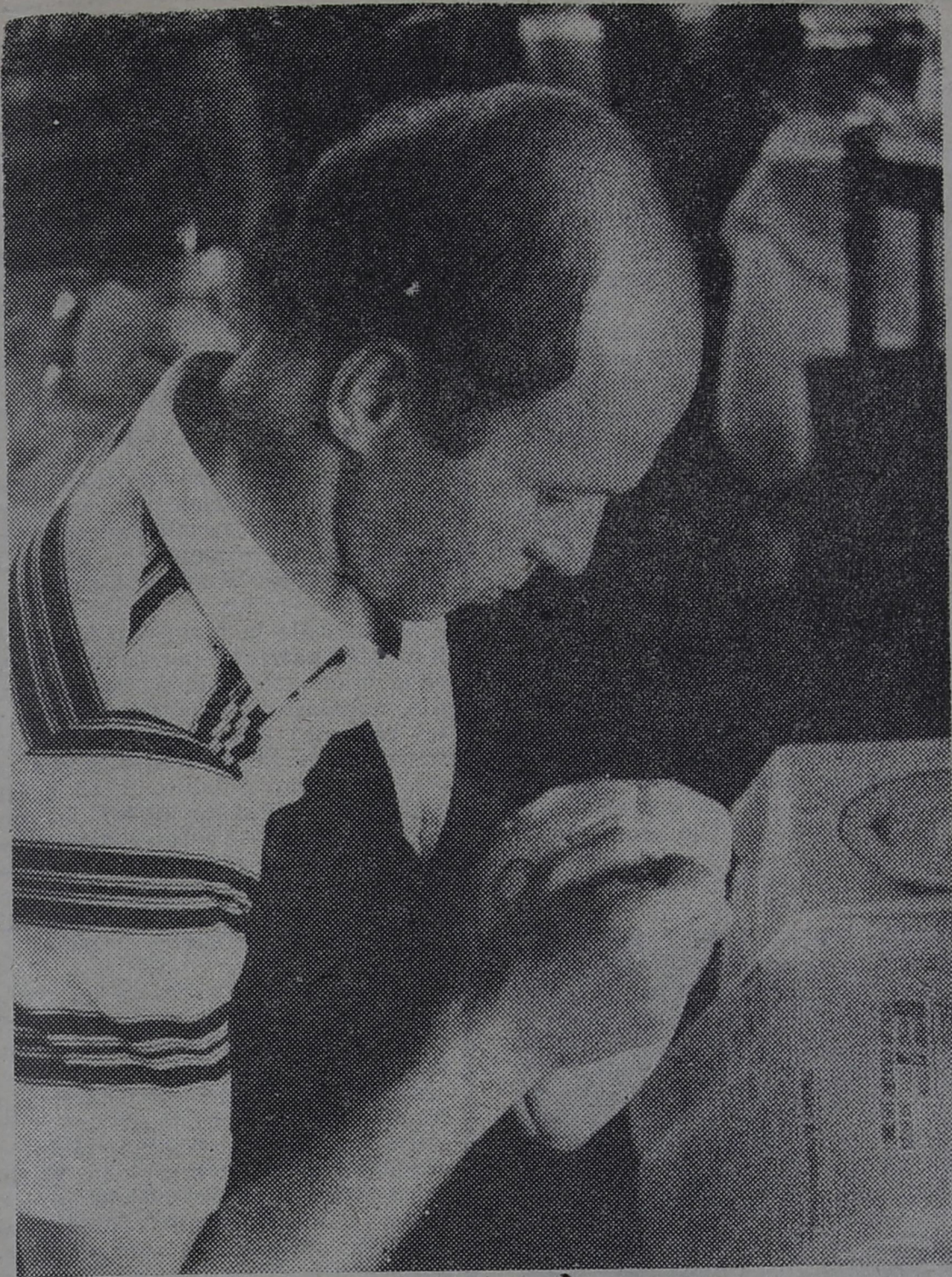
myśl z atestem

Wiedzieć, kiedy trwać, a kiedy ustąpić, oto jest dar talentu i nieomalże geniuszu (Charles Richet).

zdanie tygodnia

Jeśli ludzie nie idą ze skargą do administracji, to widocznie nie wierzą, że tam im pomogą. (zasłyszane)

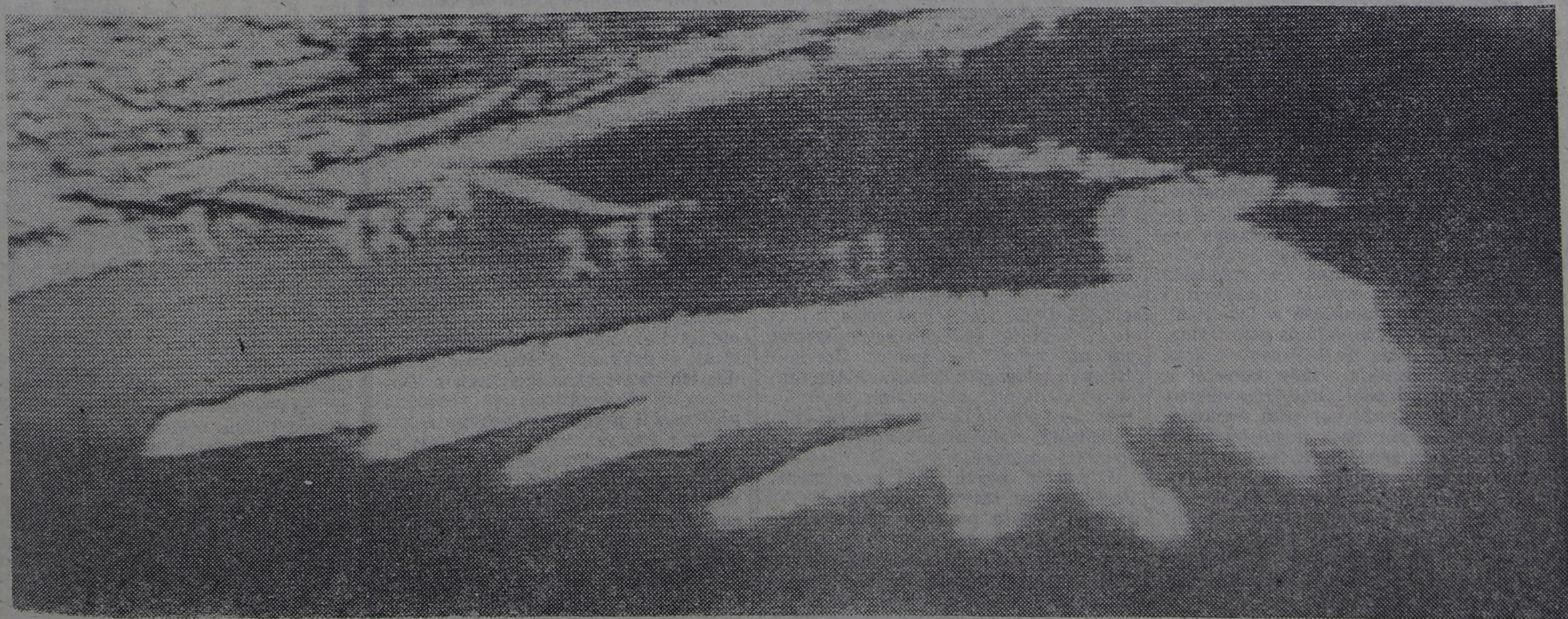




Skupione twarze zawodników, pełne powagi zachowanie – to widok, jaki zobaczyli w hotelu „Solec” w Warszawie wysłannicy „Kontaktów” w przededniu odlotu polskich piłkarzy na Mundial '82. Rutyniarze – Lato, Szarmach, Boniek, Młynarczyk – byli pewni swego: „Z Włochami wygramy, będziemy w pierwszej czwórce”. Młodzież – Kazimierski, Jatocha, Iwan, Pałasz – mniej zdecydowani: „Zobaczymy, powalczymy”. „Wróćcie po siódmym wygranym spotkaniu!” – życzyliśmy im z całego serca.

tekst i zdjęcia

Gabora Lörinczego



ESPAÑA 82

Publikowana w numerze 6/82 dyskusja o pokoleniu czasu odnowy — „Rewiry własnych światów” — wywołała żywy oddźwięk ze strony Czytelników. Niżej prezentujemy dwa z nadesłanych głosów.

Obecną sytuację młodego pokolenia, jego problemy, aspiracje i świadomość określają dotychczasowe doświadczenia Polski Ludowej, szczególnie lat siedemdziesiątych oraz ostatnich dwóch, nazywanych okresem odnowy. Zjawiska te spowodowały niechęć i niewiarę w ideę socjalizmu oraz partię — jako siłę odpowiedzialną za urealnienie tej idei.

Powszechna stała się niewiara w ustrój socjalistyczny. Mówi się nie tylko o błędach dotychczasowej praktyki, ale także — szczególnie w środowisku starszej młodzieży — o niedoskonałości samego systemu. Młodzi ludzie wyrażają wątpliwość, czy PZPR po tylu zakrętach i potknięciach może być nadal najwyższym autorytetem w kraju. Równocześnie jednak chcą walczyć o realizację podstawowych wartości socjalizmu: równość wszystkich wobec prawa, sprawiedliwość społeczną, praworządność, rzeczywiste uspołecznienie własności, autentyczną demokrację życia społecznego. Zjawisko to można określić dualizmem postaw młodzieży wobec socjalizmu.

Młodzi sądzą, że doskonale znają przyczyny obecnego stanu rzeczy. Myślę, że istotnie wiedzą, jakie błędy popełniono do tej pory, a jakie popełnia się obecnie. Ale ten stan wiedzy i świadomości przytłacza ich i sprawia, iż wielu z nich ucieka się do nieracjonalnego buntu, zamykania się w negacji, zobojętnieniu bądź oczekiwaniu. Skupiają się w małych grupkach i koncentrują na równie małych, prywatnych, często zupełnie przyziemnych, sprawach. Dzieje się tak dlatego, że nie widzą dla siebie przyszłości, nie mogą znaleźć sensu życia i — co gorsze — nie mogą go powiązać z najbliższymi losami swego kraju. Po prostu wydaje im się, że nie ma na to najmniejszych szans.

Gdzie tkwią przyczyny tej ogromnej niewiary i totalnego zwątpienia? Jedną z głównych jest chyba fakt braku autorytetów, a tego młodzieży najbardziej potrzeba. Podstawową zatem sprawą w kształtowaniu świadomości młodzieży jest wskazanie jej ideowych i moralnych autorytetów, przywrócenie wiary w sens życia i perspektywy socjalistycznego państwa.

Nie trzeba nam wielkich haseł i porywających wizji, lecz konsekwentnej i systematycznej pracy ideowo-wychowawczej, pracy u podstaw.

ZHP może być autorytetem dla młodych ludzi. Jest nim dla pewnej grupy młodzieży. Cel i sens życia

wania dzieciom i młodzieży? Nade wszystko: harcerskie prawo, harcerski ideał wychowawczy, harcerski system wartości, harcerski styl życia. Tylko tyle, albo... aż tyle. Żadnych obietnic; żadnych wizji drugiej czy trzeciej Polski; żadnych ułatwień, furi pieniędzy czy jeszcze czegoś. Właśnie przez całe dziesiątki lat popełniano w naszym kraju błąd mówiąc: młodzież ma mieć, młodzież potrzebuje. W rezultacie rozbudowano aspiracje tego pokolenia ponad faktyczne możliwości ich realizacji. Teraz mamy owoce takiego działania. Pokolenie, które mogło być pokoleniem wielkiej szansy, uważa się już dzisiaj za zupełnie stracone. Dlatego harcerkom i harcerzom mówimy: jeśli chcesz coś w życiu uzyskać, musisz na to sam zapracować. Pomożemy ci, ale niczego nie damy.

ZBIGNIEW ŻUKOWSKI
Komendant Łomżyńskiej
Chorągwi ZHP

Największym błędem systemu wychowawczego ostatnich dziesięcioleci było ignorowanie znaczenia ciągłości historii, kultury i własnego pochodzenia w kształtowaniu świadomości młodych. W krzykliwej propagandzie wzniosłych haseł, wielkich planów i pustych słów rosła więc młodzież bez filozoficznej har-

gi można — bez narzucania się i nachalnego dydaktyzmu — wskazać, ale nie nakazać. Sam musi zadać sobie pytanie: jak żyć, jaką przyjąć postawę wobec rzeczywistości; jeżeli mam być w życiu aktywny, to po co i w jaki sposób, bo przecież każde działanie musi mieć przede wszystkim sens podmiotowy.

Modne były niedawno oceny: „Jest to zmarnowane, wykoślawione pokolenie, bezideowe i pasywne”. Rzeczywiście wielu młodych ludzi mówi: „Nic mi się nie chce”, „Taki już jestem i nic na to nie poradzę”. Jest to często postawa jeża, który stawia kolce we własnej obronie; forma osłony przed kantami życia. Cóż jednak daje rozbijanie iluzji, bez wskazania czegośkolwiek w zamian? I zaraz nasuwa się pytanie drugie: ile warte są te obiegowe opinie?

W szkole, w której pracuję, zwróciło się do mnie czterech uczniów z maturalnej klasy z prośbą o opiekę nad nowo powstałym kołem ZMW. Uczniowie ci wcześniej nie udzielali się społecznie, a teraz, nieoczekiwanie, zaangażowali się bardzo w odnowę wiejskiego ruchu młodzieżowego. Przysnam, że zaskoczyli mnie trochę. Dlaczego? Nie znamy tej nowej młodzieży, a powinniśmy wiedzieć, co czuje, jak reaguje na prze-

wyznania szefa

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

130 mln. Wytrzymam z rok-dwa, zrobię dodatkowy zysk, podzielę między pracowników i zwinę manele, by pójść do następnej firmy i w podobny sposób ją rozłożyć”. Tylko że takie postępowanie ma krótkie nogi!

UWAGA — ZAKRĘT!

Ale czy aby na pewno takie krótkie? Działając przeciwko psychologicznej oszczędności na remontach, ale dając nieźle zarobić. Wszyscy klaszczą...

No tak, ale ja mam dopiero 40 lat i muszę patrzeć perspektywnie, choć wiem, że jeśli, świadomie czy nie, nabałaganie i odejdę jeszcze w tej radosnej atmosferze, to minie sporo czasu, zanim mój następca się we wszystkim połapie; jeżeli będzie taki sam — jeszcze dłużej. Do czego zmierzam? Teoretycznie przy najmniej, takie niebezpieczeństwo — bezkarnego działania na krótką metę, stawianie jedynie na błyskotliwy, a pozorny efekt — istnieje.

Niektórzy dopatrują się go też w czym innym. Działając w granicach zakładu mamy sytuację o tyle ułatwioną, że — przy narzuceniu jedynie ogólnych ram gospodarowania funduszami — będziemy mogli ustalić w miarę racjonalne zależności w relacji praca-wynik-płaca. W dużej mierze zarobek będzie uzależniony od wysiłku pojedynczego pracownika, ale też i od spraw wykraczających poza jego wpływ, jak chociażby zaopatrzenie w materiały i surowce, narzędzia, aktywność w szukaniu najlepszych kontrahentów itp. Gdzie wypatrują zagrożenia: że w pewnym momencie nastąpi znaczne zróżnicowanie zarobków w poszczególnych grupach zawodowych, gdyż będą one w jeszcze większym niż obecnie stopniu zależały od tego, w którym z zakładów jest się zatrudnionym; w lepiej zorganizowanym będą nieporównywalnie wyższe. Pamiętam, chociażby z okresu ostatnich dwu lat, tę presję społeczną na zagwarantowanie przez państwo prawa do karty hutnika, górnika, nauczyciela i kogo tam jeszcze. Czy realna jest groźba, że owe ogniska niezadowolenia, wynikające ze swobodnego rozumienia pojęcia sprawiedliwość, odnowią się?

Myślę, że mogłoby to eksplodować w jednym przypadku: zupełnej samowoli dyrektora, przy pozbawieniu jednocześnie załogi wpływu na jego działania. Wierzę jednak, że zadziała raczej inny mechanizm — wymuszania na kierownictwie zakładów takich inicjatyw, które gwarantowałyby jak największy, a w każdym razie przynajmniej porównywalny, zysk.

NADZIEJA W SAMORZĄDACH

W omijaniu tego typu groźnych nam — bardziej czy mniej realnych — zakoli najbardziej liczę na samorządy pracownicze, które spełniać mogą z powodzeniem rolę stabilizatora i czujnika społecznych nastrojów. Kto w nich jest obecnie? Średni dozór techniczny, kadra inżynierino-techniczna, słowem: ludzie wykształceni, którzy nie dadzą się wypchać byle czym.

Jaką np. sprawę załatwiliśmy u nas, która na pierwszy rzut oka wydawałaby się nie do przeskokowania. Centrala Handlu Zagranicznego zaproponowała nam eksport — chcemy do końca bieżącego roku, startując od zera, dojść do 8 procent naszej produkcji. Jest jednak jedno zasadnicze „ale”: w stosunku do ceny otrzymywanej od krajowej fabryki mebli tracimy około tysiąca złotych na jednym metrze sześciennym płyty. Mimo to na posiedzeniu OKON-u, który pełni obecnie funkcję samorządu, proponuję: „Żeby zyskać trzeba stracić. Stracimy jednak w złotówkach, a odłożymy pewną pulę niezbędnych w naszej sytuacji dewiz na zakup części zamiennych. Inaczej, gdy wypstrykamy się z zapasów, możemy być zmuszeni do zatrzymania maszyn na dłużej”. I dyskusji nie było; projekt został zaakceptowany, choć zmniejszał przecież wyraźnie korzyści do-
razne.

własnych światów

rewiry

nasz ruch wiąże z harcerskim ideałem wychowawczym, który zawiera przecież takie cele życiowe, jak walka o prawdę, szczęście, sprawiedliwość społeczną, równość i wolność wszystkich ludzi, przyjaźń i pokój między narodami, wierność ojczyźnie i gotowość do jej obrony, czyli najwyższe wartości naszego systemu. Mając taki ideał wychowawczy chcemy młodym wskazywać te konkretne wartości, bez podkreślania na każdym kroku, że wychowujemy bojowników socjalizmu. Do takiego rozumienia celu młodzież powinna dochodzić powoli, w toku codziennej pracy.

Warto przypomnieć, że ZHP było już raz w swej historii w podobnej sytuacji. Zaiskrzyła ona zaraz po drugiej wojnie światowej, w czasie rewolucji politycznej w naszym kraju. Walczyliśmy wówczas o młodzież AK-owską, aby wyszła z podziemia i rozpoczęła działalność w legalnych warunkach, by odnalazła sens życia, przyłączając się do budowy Polski Ludowej. Lasując wtedy konkretne formy działalności młodzieży ochroniliśmy ją przed pomyłką życiową. Bez przesady można powiedzieć, że osiągnęliśmy sporo, bowiem odzyskaliście wielu młodych, którzy potrafili autentycznie odnaleźć się w życiu. Niestety, ówczesna ocena polityczna harcerstwa nie była dla naszego ruchu szczęśliwa. Jesteśmy przekonani, że obecnie nikt takiego błędu nie popełni.

Co dzisiaj ZHP ma do zapropono-

monii życia, która kreuje zgodność życzeń i pragnień jednostki z tym, czego chcą inni. Kłamstwo i częsta drwina z bohaterstwa i własnej przeszłości nie sprzyjały kształtowaniu postaw patriotycznych, a więc i internacjonalizmu. Skoro bowiem młody człowiek nie zna i nie szanuje własnego narodu, nie może później rozumieć i sprzyjać drugiemu. Niepowetowane straty moralne przyniosło również długie i uparte odcinanie się od chrześcijańskich korzeni polskiej kultury.

Bardzo skutecznie wpłynęło też na wypaczenie młodych charakterów hasło „Żeby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”. Ta drobnomieszczańska wizja życia konsumpcyjnego, wywołująca u ludzi pogoń za wszelkiego rodzaju materialnymi rzeczami (samochód, pralka, meble czy dywan), najbardziej zaszkołdziła emocjonalną sferę życia młodych. „Jednego serca tak mało, tak mało, jednego serca trzeba mi na ziemi!” — śpiewa Czesław Niemen słowami Adama Asnyka, wypowiadając zbiorową tęsknotę młodego pokolenia za tym, co nie jest tylko dobrem zamkniętym w kształcie materii.

Otwarcie psychicznej przestrzeni, dostrzeganie innych oraz całej złożoności świata pomaga człowiekowi uzyskać własny ład moralny, w którym jednakże każdy sam dla siebie musi ustalić hierarchię wartości i stworzyć z nich kształt swojej egzystencji. Młodemu wizję przyszłej dro-

miany zachodzące w kraju, co teraz naprawdę kształtuje jej osobowość.

Udanym startem dla młodego koła było samodzielne przygotowanie i zorganizowanie w klubie internackim wieczornicy, potem tradycyjnych „Andrzejków” i dyskusji „Co o Polsce piszą i mówią inni”. Teraz chcemy wspólnie otworzyć małą salkę teatralną, prezentować własne teksty, dyskutować.

W studium pomaturalnym prowadzę zajęcia z podstaw nauk politycznych. Wiadomo, ile ten przedmiot budzi studenckich pretensji i niechęci. Dlatego też, zanim przesiadną na zajęcia do omawiania zagadnień związanych z partiami politycznymi, państwem i rządem, dyskutowaliśmy o człowieku. Zastanawialiśmy się nad potrzebami psychicznymi jednostki ludzkiej, nad normami życia, świadomością społeczną i narodową; rzeczywistość stała się wielowarstwowa, odsłoniła głębsze problemy, różnorodne opinie i postawy. Teraz studenckie głosy w dyskusjach otwierają drzwi do ich wewnętrznego świata. Dostrzegam wybuch jakiejś eksplozji polskości i pragnienia poznania korzeni, z których wyrastamy. Jest to coś nowego i wspaniałego.

Czy więc młodzież pragnie tylko wrzaskliwych dyskotek i brutalnego boksu, jak twierdzą niektórzy „znawcy” współczesnego młodego pokolenia?

JADWIGA HARASIMOWICZ
Wrocław
Fot. GABOR LÖRINCZY



Przy obniżeniu kosztów wytwarzania i podwyższeniu produkcji (nie wykorzystujemy obecnie, z powodu niedostatku surowców, wszystkich mocy) może się także okazać, że eksport stanie się dla nas opłacalny. Liczę, że osiągniemy to do połowy przyszłego roku. Teraz zaś musimy płacić frycowe. Kto bowiem uzyskuje najlepsze ceny? Stały, regularny dostawca wyrobów, dobrych jakościowo. Ten, kto nie rozumie, że musi eksportować, gdy jest sam zależny od importu — zginie. Jeżeli, oczywiście, zachowane zostaną prawdziwa reformy, w których jest jednoznacznie powiedziane, że jedynym źródłem dostępu do dewiz jest odpis od uzyskanej wartości eksportu, i nie zacznie się znów kłajstrować sprawy, jak to było w przeszłości, kiedy najpierw namawiano zakłady do sprzedawania za granicę, a później ich droga do dewiz na własne potrzeby zamieniała się w karkołomną ścieżkę, za to otwierała dla innych.

TRZEBA W COŚ WIERZYĆ

Zasad reformy, ich czystości, trzeba bronić za wszelką cenę. Przy czym nie wystarczy uznać za święte raz opracowanych ustaleń, ale trzeba cały ten proces obserwować i korygować; najpierw stworzyć ludziom możliwość podniesienia kwalifikacji, a potem, niestety, rozliczyć i zweryfikować.

Kto ma to zrobić? Raczej: jak to zrobić? Minister Baka zapewniał, że pracuje się nad systemem ocen wdrażania reformy, a bez oceny ludzi jest to dla mnie niewyobrażalne. Niektórzy, nauczeni niewesołym doświadczeniem, mogą wypatrywać tu kolejnego zagrożenia. Mówią: „Znów pojawi się nam przebogaty zbiorek mierników, wskaźników, które dostaną się w ręce ludzi aż nadto lubiących pociągać za sznurki”. Ale powiedzieliśmy chyba jednoznacznie, że wprowadzając reformę, zmieniliśmy podstawy myślenia — nie to, czy się komu gęba podoba, czy nie, ale konkrety muszą takich kryteriów jeszcze, niestety, przemawiać. Własnych propozycji nie mamy. Wiemy tylko, że należy oceniać końcowy wynik. I to nie w żadnych kilogramach, tonogodzinokilometrach, ale wartościowo, jako że — jak zapewnia minister Krzak — złotówka ma być wreszcie złotówką.

Wierzę w to! W coś przecież muszę wierzyć, nawet jeśli nie jest to aktualnie doskonałe. Co prawda, raz już uwierzyłem — w WOG-i, które na początku były całkiem niezłe pomysły. Później jednak, gdy zakłady nazbierały krocie na swych kontaktach, niektórzy się przestraszyli i zabrali za ograniczanie. Wtedy ukuło się pojęcie „progę”, narodził się wskaźnik „O”, czyli zero, jak myśmy się naśmiewali, i w pewnym momencie przestało to wszystko funkcjonować. Zatrącona została część motywacyjna całej sprawy i odtąd zaczęło się ludziom należeć za samą obecność w zakładzie. Gdybyśmy byli konsekwentni w zamiarach i potraktowali WOG-i poważnie jako preludium do reformy, obecnie mielibyśmy do niej o niebo bliżej.

UCZEPIENI DO KOŃSKIEGO ZADU

Czy dziś jesteśmy już wolni od popełniania błędów? Z pewnością nie. Twierdzimy np., że trzeba wszystkim stworzyć warunki do równego startu w reformie. Dlaczego więc mamy mówić, że jeden zakład spłaca kredyty, a drugi nie. Przekreślmy to wszystko, wprowadźmy bardziej rygorystyczny fiskalny system podatkowy i ściągajmy te same pieniądze, tylko będą się one inaczej nazywały. Co dla mnie za różnica, czy oddam je do banku w formie raty kredytu, czy jako podatek dochodowy?

Przejrzystość i jednolitość rozliczeń finansowych ważna jest z kilku względów. Przede wszystkim daję możliwość porównywania efektów osiąganych przez poszczególne zakłady, ale równie istotne wydaje się co innego: każdy z pracowników musi umieć przełożyć na własny język, jak przyczynia się do ostatecznego wyniku, jakie pieniądze otrzymuje za takie, a nie inne, działanie, gdyż jest to jego pierwsze — zachęcające bądź nie — spojrzenie na reformę. Tej sprawy — dotarcia z nowymi zasadami ekonomicznymi do szeregowego pracownika — nie

załatwiliśmy do końca, a jest ona bodaj najpilniejsza, jeżeli chcemy zyskać autentycznych sojuszników.

Powiadają nam tak: „Los nie jest dla was najlaskawszy w finansach, ale za to »załapałście się« do programów operacyjnych”. Owszem, tylko że zostały one dokumentnie „skopane”! I to nie przez tych, którzy je wymyślili, a już w fazie wykonawstwa. Zamiar był przecież taki, że 30 proc. surowców i materiałów miało trafiać na potrzeby określonej liczby zakładów objętych ty-

zdeklarowaniem się dostawców w formie pisemnych umów na surowce niezbędne do naszej produkcji — jest to jeden z minusów wdrażania reformy. Poniekąd jednak mogą to zrozumieć, bo oni prawdopodobnie też są w takiej samej sytuacji — uzależnienia od swoich dostawców lub od importu. Jest to więc zamknięte koło, które należałoby jak najszybciej rozzerwać. Tyle że nie wprowadzaniem dodatkowych zasad reglamentacji, priorytetów, rozdzielników itp., tylko odwrotnie — przez zwalnianie różnego rodzaju ograniczeń.

Niektórzy, zamiast sięgnąć do sedna, skłonni są wszelkie źródła naszych problemów składać na konto „tych z Zachodu”, którzy „umilają” nam życie blokadą importu i innymi sankcjami gospodarczymi. Zgoda, na pewno odbiło się to ujemnie na naszej gospodarce, ale — patrząc dalej — wyszło również na dobre, bo raptem okazało się, że są sposoby na załatwienie wielu spraw we własnym zakresie. To samo u nas: było sześć importowanych komponentów do produkcji żywiec na laminaty i nasi inżynierowie zdołali w stosunkowo krótkim czasie wyeliminować już cztery. I to jest niezły, okazuje się, mechanizm, spełniający rolę naganiacza do myślenia: jak przeżyć. Można co najwyżej ubolewać, że dopiero taka sytuacja do tego nakłoniła.

„S” JAK „SAMODZIELNOŚĆ”

Co natomiast udało się nam pożegnać na zawsze i bez większego żalu: zjednoczenie. Na jego miejsce powołaliśmy Zrzeszenie, w którym niektórzy sceptycy dopatrują się je-

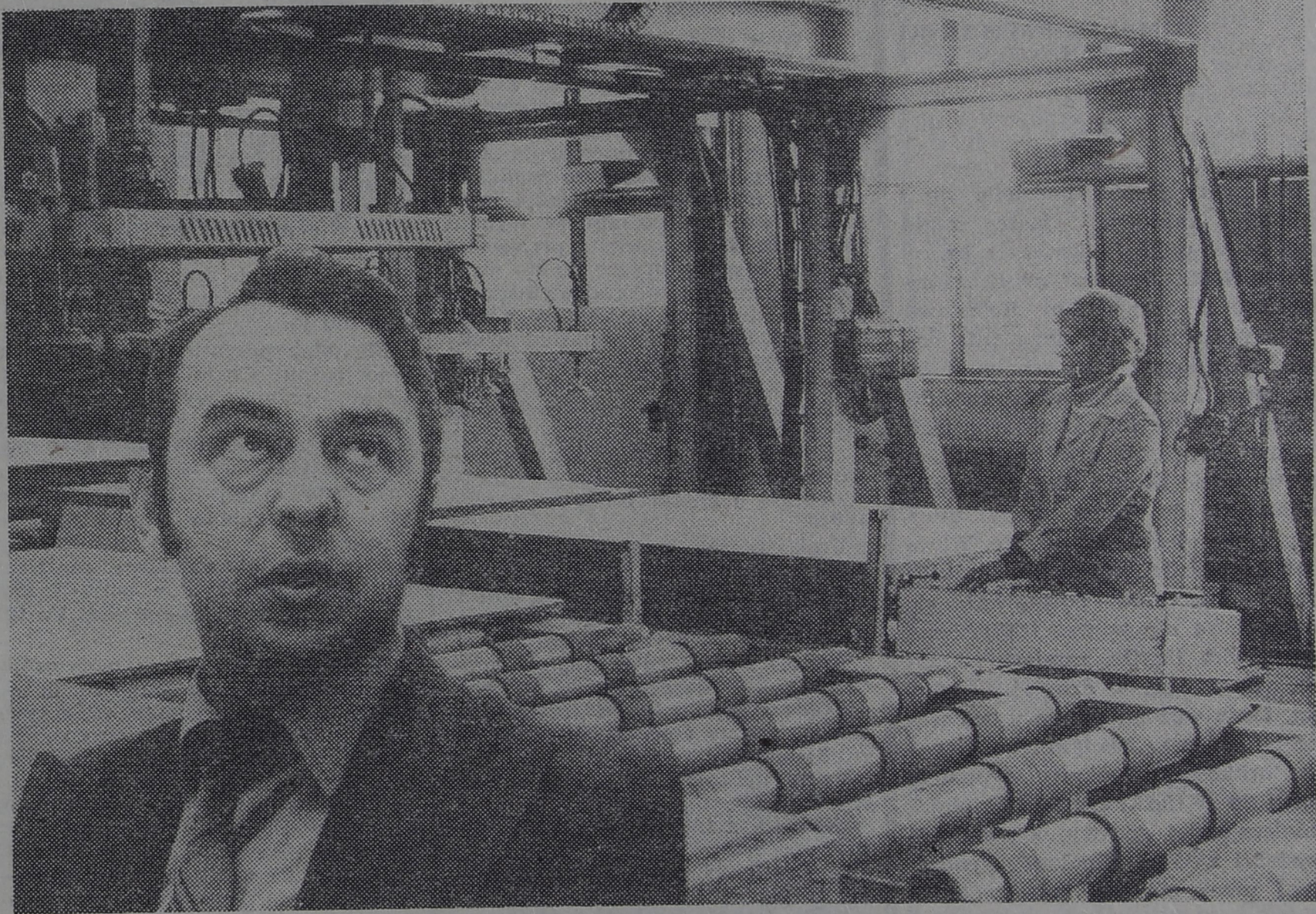
ostatnią resztkę brakującą nam do zupełnego usamodzielnienia się — możliwość zmiany cen własnych wyrobów...

Co zrobiłbym, gdyby stało się to już dziś? Natychmiast obniżyłbym cenę na płyty wiórowe zwykłe, tzw. surowe. Nawet gdybyśmy na tym stracili. Zdaje się, że zabrzmią to jak głos filantropa. Broń boże! Odbiłbym to z nawiązką na podwyżce ceny płyt laminowanych, na które popyt jest taki, jak na świeże bułeczki. Po co, mimo wszystko, tracić? Żeby być konkurencyjnym w cenie z innymi dostawcami płyt surowych. Dopiero wówczas moglibyśmy powiedzieć, że staliśmy się naprawdę posiadaczami jednego z głównych „S” — tego od samodzielności.

WŁADZA NA GARNUSZKU?

Dla nas oznacza to przekroczenie pewnego symbolicznego progę, ale czym stanie się dla władzy terenowej, zmuszonej do włodarzenia obszarem, na którym lokują się sami samorządni, samofinansujący się i samodzielni? Gdzie ją samą umieścić w tych ściśle matematycznych regułach gry, jeśli ma skutecznie reprezentować i realizować swoje zamierzenia?

Przyznam się, że ten temat nie jest dla mnie nazbyt jasny, aczkolwiek mówi się już, że na ten cel — potrzeb miejscowego społeczeństwa — ma być przeznaczona część podatku gruntowego, płaconego przez zakłady. Byłby to bodaj jedyny „zysk” z tego, że na danym terenie istnieje jakaś fabryka. Jest to zdecydowanie za mało. Trzeba będzie więc i do tej sprawy wrócić w najbliższym czasie, i to nie w formie



mi programami, a tymczasem trafia do ilości ponad dwukrotnie większej. Jest to cholerny błąd, a nie żadna preferencja tego, czego się społeczeństwo spodziewa. Bardzo dobrze, że minister Baka zapowiedział już likwidację dwóch programów oraz weryfikację tych, którzy podcepiali się niczym mucha do końskiego zadu, chwając się w dodatku „ależ my orzemy!” Np. FSO znalazła się tym sposobem w programie zdrowia, bo produkuje także sanitarki; uśmieć się można. Zrobiło się tak, jak kiedyś, gdy stemplowaliśmy co popadnie wielką pieczęcią: „Inwestycja szczególnie ważna dla gospodarki narodowej”. Dlaczego np. po pięciu z górą miesiącach reformy nadal nie ma butów filcowo-gumowych, ubrań roboczych? Rozumiem, że brakuje proszków do prania, bo potrzebne są jakieś importowane komponenty, ale drelchu? A to są namacalne sprawy, o których robotnicy przy warsztatach mówią: „Co wy tam pieprzycie, że program operacyjny, a popatrz pan, w jakim łachu ja pracuję”.

Gdybym miał rozbudować tę listę potknąć, w pierwszej kolejności wymienilibym sprawę zaopatrzenia. Do dnia dzisiejszego mamy kłopoty ze

dynie zmiany szyldu. Tak nie jest. Zrzeszenie przejęło tylko jeden, naszym zdaniem najważniejszy, element — świadczenie usług. Żeby nasze przedsiębiorstwo mogło dobrze funkcjonować, nie może zamknąć się w Grajewie. Na dobrą sprawę musiałbym mieć np. w Warszawie stałe przedstawicielstwo do kontaktu z centralami handlu zagranicznego, eksportującymi nasze wyroby; do zabiegania o przydział materiałów dzielonych wciąż jeszcze centralnie. To wszystko zlecam Zrzeszeniu, które w moim imieniu pertraktuje, służy informacją, gdzie i co mogę załatwić. Trzeba przecież mieć świadomość tego, że przez te długie lata istnienia zjednoczeń zostaliśmy zubożeni o wiadomości; były sprawy, które tylko „władza” załatwiała, a my — skromni petenci — byliśmy łaskawie obdarowywani: temu kawałek, kasek tamtemu. Najlapiardziej ujął tę zmianę jeden z moich pracowników: „Przedtem traktowali jak gówniarza, a teraz, gdy muszą się czymś wykaazać, byśmy chcieli ich utrzymać, występujemy jako bez mała pracodawca. Sposób traktowania nas zmienił się więc diametralnie, choć ludzie pozostali w większości ci sami”.

Gdybyż tak otrzymać jeszcze i tę

charytatywnej, jak dotychczas. Nie można przecież budować przyszłości regionu jedynie na tym, czy chimeryczny wujaszek da cokolwiek, czy poskapi.

Póki co, prawda jest taka, że w opłotowaniu tego zakładu ja jestem szefem i nikt inny. Powiedzmy jednak, że przychodzi do mnie naczelnik i kłaniając się w pas powiada: „Macie, dyrektorze, rezerwy energetyczne, więc dajcie je dla miasta, bo szalenie potrzebne”. Przepraszam, dam, ale jeśli mi się to opłaci. Jeśli nie — nie dam, choćby mnie tu zarzucono racjami wyższego rzędu i czym tylko.

Ktoś może w tym momencie uderzyć w strunę: „Ależ naczelnik reprezentuje interes społeczny!” A ja, za przeproszeniem, czyj? Też określonej społeczności, tyle że liczbowo mniejszej. I jeżeli mówimy, że będą wolne ceny, to i ja będę zainteresowany sprzedażą nadmiaru, powiedzmy, energii. Jest tylko kwestia wynegocjowania ceny. Ze chcę samej władzy dyktować warunki? Niechże, z kolei, ona — przez odpowiednie mechanizmy ekonomiczne — sobie to odbierze! Pieszczoł w ekonomii nie ma! I — mam nadzieję — nie będzie.

Fot. GABOR LÖRINCZY

reformy z bliska



kontakty

kontaktów

Jestem mieszkańcem Łomży i często bywam w celach rekreacyjnych na miejskim stadionie. Ostatnio obserwowałem tam paradoksalne zjawisko. Stadion jest rozbudowywany — powstaje pawilon oraz wieża sprawozdawcza, a obok marnieją korty tenisowe, w które kiedyś zainwestowano sporo pieniędzy. Ich nawierzchnia jest obecnie gorsza niż klepisko w stodole u mojego dziadka. A przecież taki kort mógłby i powinien przynosić jakiś zysk. Może jednak właśnie o to chodzi, aby zbudować i później zostawić? Myślę, że z tej wieży sprawozdawczej za trzy lata pociechę będzie miał jakiś emeryt, który tam założy sobie gołębnik. Nie wiem, kto w Łomży decyduje o rozdziale środków pieniężnych na sport, ale jestem pewien, że ta inwestycja nie przyniesie ani jednego punktu w jakichkolwiek zawodach, na jakiejkolwiek arenie sportowej.

Byłem też świadkiem Olimpiady Szkolnej, która odbywała się w końcu maja br. Były tam flagi, były przemówienia, ale zabrakło barowozu z oranżadą dla spragnionych dzieciaków, z zapalem biegających po biegni.

Najważniejsza jest nadbudowa!

MAREK SZYMAŃSKI
Łomża

★

Zmuszony jestem podzielić się z redakcją zajęciem, jakie miało miejsce w dniu 13 kwietnia br. w sklepie WSS „Społem” nr 12, który znajduje się przy ulicy Bolesława Prusa w Łomży. Otóż tego dnia dokonałem zakupu: 1 kg schabu, 1 kg salcesonu, 1 kg mięsa wołowego. Po przeważeniu w innym sklepie tego towaru stwierdziłem w każdym asortymencie brak 5 dkg. Ponownie udałem się do sklepu przy ulicy Prusa, aby złożyć reklamację. Wówczas stwierdziłem, że obie wagi, którymi w tym dniu posługiwał się personel, są niesprawne. Pierwszej wskazówka tkwiła, zamiast na zerze, na 5 dkg, w drugiej — na 3 dkg. Mnie ważono na pierwszej wadze i dlatego w każdym asortymencie brakowało 5 dkg. Dokonałem wpisu do „Książki życzeń i zażaleń”. Finałem całej sprawy, według odpowiedzi z WSS „Społem”, podpisanej przez prezesa, inż. Ireneusza Chrostowskiego, było „przeprowadzenie rozmowy z kierownictwem sklepu i ostrzeżenie, że w przypadku ponownego stwierdzenia nieprawidłowości, jakie miały miejsce w dniu 13.04.1982 r., będą wyciągnięte ostre sankcje dyscyplinarne”.

Myślę, że takie potraktowanie sprawy — a nazwę ją po imieniu — nadużycia, jest śmieszne. Na przykład przy sprzedaży 100 kilogramów schabu personelowi pozostaje aż 5, a wiadomo mi, że sklep dziennie otrzymuje większą ilość towaru.

Odpowiedź z WSS „Społem”, którą przesyłam w załączeniu, mnie nie satysfakcjonuje.

TADEUSZ GOLIŃSKI
Łomża

Od redakcji: nas również. Ciekawi jesteśmy, na przykład, czy naszemu Czytelnikowi wyrównano stratę, czy wagi w sklepie są już sprawne i jakie podjęto kroki, by uchronić klienta przed podobnymi sytuacjami.

— Ogólnie widzę tak: po Sierpniu wielu panów dyrektorów, panów szefów przeżyło przykrość. A to ktoś ośmielił się na nich poskarżyć, a to nie potraktował ich decyzji jak świętej, odwoływał się, dyskutował. Teraz, po grudniu, widząc, czyje na wierzchu, odżyli. A przy okazji można załatwić dyskusje dawne rachunczki... A pan kto? — kończy nagle badawczo młody robotnik i, niby spiesząc się do autobusu, nie odpowiada nawet na „do widzenia”.

Dyrektor do spraw produkcji Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew”, inżynier Tadeusz Pałęga, także mówi ogólnie: — Życie jest twarde, a teraz twarde szczególnie. Mamy reformę i chcemy w nią wejść. Teraz liczy się tylko wynik!

Drobny kłopot. Bo ja tu w sprawie ludzkiej. A ta nie jest ujęta w roczny — czy choćby tylko kwartalny — plan; nie można jej klarownie przedstawić wykresem; nie da się wyłożyć sprawdzalnym wskaźnikiem, choć i plan, i wykresy, i wskaźniki wypełniają się dzięki ludziom; przez ostatnie trzynaście lat także dzięki jednemu — z prawie trzech tysięcy ludzi codziennie przekraczających bramę zakładu — mistrzowi w tkalni pierwszej, Franciszkowi Michalakowi. Byłemu mistrzowi. Po trzynastu latach pracy, w dzień po powrocie z urlopu, pierwszego kwietnia 1982 roku, otrzymał bowiem pismo: „Wypowiadam ob umowę o pracę od dnia 30.04.1982 dotyczącą warunków pracy i płacy”. Decyzja — jak się dowiedział — zapadła kilka dni wcześniej, na naradzie mechaników z dyspozytorem Janem Gutowskim i kierownikiem tkalni, Franciszkiem Szymajdą. Nagle, bez uprzedzenia. Ba, w ciągu tych trzynastu lat pracy w „Narwi” nikt nigdy nie zgłaszał do niego żadnych zastrzeżeń. Nigdy nie stracił premii, trzynastki, nie był karany nawet ustnym upomnieniem. Jego akta osobowe pokazywać można świeżo przyjmowanym pracownikom: niech mają wzór.

W roku 1972 trzykrotnie podwyższono mu płacę. W sierpniu 1975 ówczesny kierownik Wydziału Tkalni, Stanisław Czuleżyński, umotywował kolejny wniosek o podniesienie mistrzowi Michalakowi uposażenia „bardzo dobrymi wynikami w produkcji tak pod względem ilości jak i jakości”. Dwa lata później, w wyniku reorganizacji związanej z przejściem na duże zespoły, liczące po sto dwadzieścia krosien, spośród dwudziestu jeden mistrzów w jego tkalni, zostało pięciu. Przeszedł tę solidną selekcję i było to kolejne potwierdzenie jego kwalifikacji. W rok później w „Arkuszu ocen mistrza” przełożeni zanotowali:

„Umiejętność obsługi krosien — bardzo dobra.

Dbalność o środki pracy — bardzo dobra.

Umiejętności organizatorskie — bardzo dobre.

Dyscyplina pracy — bardzo dobra.

Znajomość i przestrzeganie przepisów BHP — bardzo dobre.

Nadzór nad pracą podległych pracowników — bardzo dobry.

Praca z podwładnymi (instruowanie, pouczanie i ocenianie podwładnych) — dobre.

Samodzielność i inicjatywa — bardzo dobra.

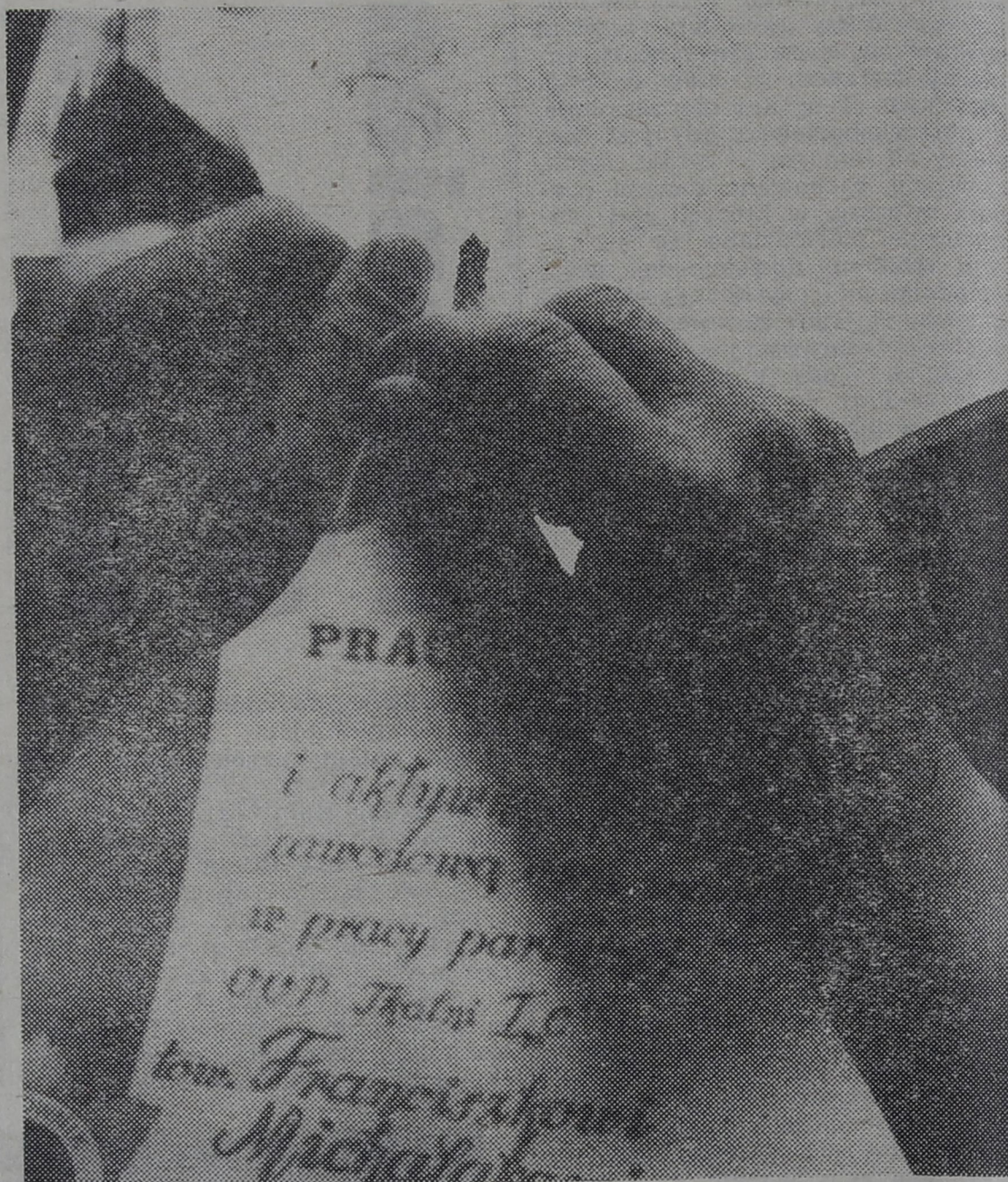
Stosunki z ludźmi — bardzo dobre.

Stosunek do przedsiębiorstwa — bardzo dobry.”

W tym samym zresztą roku otrzymał też dyplom uznania za: „[...] wzorowe wypełnianie obowiązków służbowych, wykazaną inicjatywę w pracy, podnoszenie jej wydajności i jakości oraz postawę społeczną”.

Kolejna opinia, zawarta w „Arkuszu oceny pracownika na stanowisku nierobotniczym”, z kwietnia 1980 roku, potwierdza poprzednie. Z tym, że najwyższą notę otrzymał teraz za umiejętność współpracy i współzycia w zespole: „[...] chętnie pomaga słabszym w pracy, łagodzi napięte sytuacje”. Była jeszcze po drodze gąbłota ludzi dobrej roboty, dyplomy od ZMS-u, dwie krótkie wzmianki w lokalnym dzienniku. Natomiast sześć miesięcy przed stwierdzeniem, że Michalak nie nadaje się na mistrza, ci sami przełożeni, Franciszek Szymajda i kierownik Wydziału Tkalni, inżynier Tadeusz Koćwin, podpisali się pod wnioskiem dyspozytora o zwiększenie dodatku funkcyjnego, motywując, iż „[...] ob. Michalak Franciszek wykonuje i przekracza systematycznie zadania planu jakościowego i ilościowego. Uważam, że zasługuje na podwyżkę”.

Kiedy więc otrzymał pismo i przeczytał, „że systematycznie nie wykonywał zadań produkcyjnych, jak również stronę organizacyjną miał słabą” — zaniemówił.



— To było dla niego rzeczywiście zaskoczenie, szok — przyznaje Jan Gutowski, który bynajmniej nie jest rzecznikiem Michalaka — choć o przesunięciu go na mechanika powiedziałem mu dwa, trzy dni wcześniej. Nie podpisał wypowiedzenia, oddał mi legitymację partyjną. Przyszedł po trzech dniach, poprosił o zwrot, coś tam wyjaśniał... Zwróciłem mu ją.

Michalak początkowo zareagował emocjonalnie. Chciał jakoś zaprotestować; potem wydało mu się to śmieszne. Zwrócił się o pomoc do KZ, wreszcie odwołał do Terenowej Komisji Odwoławczej w Łomży.

— Nie choruję na stanowisko. Mnie żadna robota nie hańbi — przekonuje. — Jako mechanik mogę mieć mniej obowiązków, mniejszą odpowiedzialność. Ale potraktowali mnie jak szczeniaka, śmiecie. Po tylu latach.

Zabolała go zwłaszcza motywacja, która uderzyła go dodatkowo: ludzie nie chcą z nim pracować. Negatywna opinia o Michalakowi zaczyna się bowiem z wolna rozrastać, pogłębiać. W rozmowie z sekretarzem Komitetu Zakładowego, Janem Łukasikiem, kierownik Szymajda wymienił nawet nazwiska ludzi, którzy oświadczyli mu, że z Michalakiem pracować nie będą. Wprawdzie przywołany na konfrontację mistrz Sobczyński stwierdził, iż nic takiego nie mówił, jednak, w piśmie zakładu do TKO fakt ten stał się koronnym argumentem kierownictwa tkalni: „W ostatnim okresie na zespołach, gdzie pracował w/w panował niezgoda, a koledy nie chcieli z nim współpracować. [...] Należy również nadmienić, że w okresie, gdy ob. Franciszek Michalak pracował na dwie zmiany, jego zamiennik złożył rezygnację z tej współpracy”.

— Czy zamiennik Michalaka, Marczyk, rzeczywiście zrezygnował z funkcji mistrza, bo nie mógł się z nim dogadać?

— Tak mówił. Ale teraz się wyparł. Nie potwierdzi — uprzedza kierownik Szymajda. — Inni też przychodzili, mówili: z Michalakiem robić nie będę.

— Kto przychodził?

— Łada, Sobczyński, tkaczki. Ale teraz zapierają się wszystkim!

Sobczyński nie potwierdził przed sekretarzem. Marczyk nie potwierdził, choćby chciał.

— Sam się ocenił na naradzie, że się nie nadaje, i zrezygnował — mówi w innym miejscu i czasie dyrektor Pałęga, dyspozytor Jan Gutowski i mechanik Krzysztof Balaży. Zresztą sam Marczyk przyszedł do kierownika tkalni i poprosił, by

poza

go do swych rozgrywek nie włączał. W uzasadnieniu swego stanowiska przed Terenową Komisją Odwoławczą kierownik Szymajda mocno akcentował, iż decyzji w sprawie Michalaka nie podejmował sam. Tymczasem uczestnicy narady, mechanicy i sam dyspozytor, jakby odcinali się od podnoszonej przez niego „kolektywności”.

— Po rezygnacji Marczyka kierownik Szymajda stwierdził, że trzeba zmienić także Michalaka. Ja byłem za tym, żeby go przenieść na inny zespół — mówi Jan Gutowski. — Osobiście mogę Michalakowi zarzucić, że był za miękki dla ludzi, że sam niekiedy wolał coś zrobić niż kogoś popędzić. Taki mistrz daleko nie zajędzie. Był przy tym powolny, jakby bez ikry.

Decyzję zwierzchnika akceptuje, bo sytuacja w zespole Marczyk—Michalak była fatalna.

— Kierownik zapytał nas — przypomina nasiadówkę sprzed trzech miesięcy mechanik Krzysztof Balaży — jakie mamy zastrzeżenia do mistrza. Ja odpowiedziałem, że nie mam. Inni zresztą też. Powiedziałem, że mi pomaga, bo maszyny po moim poprzedniku to bagno.

W kilku ostatnich miesiącach w zespole Michalaka rzeczywiście zaczęło się coś rwać. W drugim kwartale 1981 roku miał jeszcze drugie miejsce w tkalni, w czwartym nie wykonał planu. Ludzie nie dostali premii.

— Michalak uznał, że niesłusznie, i zamiast potraktować, poszedł do dyrekcji. W pierwszym kwartale tego roku zaczęło być jeszcze gorzej, więc zostali rozpedzeni. Bo żeby był postęp — uogólnia inżynier Koćwin — słabszy musi być zastąpiony lepszym. Argumentacja, że najpierw trzeba pracownika obłożyć karą, a dopiero potem zwolnić lub przenieść, jest dla mnie nie do przyjęcia. W kapitalizmie też zresztą nikt nie karze. Dziękują za robotę i stawiają następnego.

— Czy kilka słabszych miesięcy może decydować o losie człowieka? Czy nie należało mu pomóc? Zainteresować się, dlaczego nagle się zmienił?

— To on miał obowiązek pomagać słabszym pracownikom, a nie ktoś jemu. Poza tym: jeśli poczuł się skrzywdzony, mógł przyjść do mnie lub inżyniera Koćwina, zapytać: za co mnie pan zdjął?

— Dlaczego nagle się zmienił? A ktoś zgłębił psychikę ludzką? — filozoficznie uzupełnia odpowiedź kierownika Szymajdy, inżynier Koćwin.

— W listopadzie zgrany zespół Michalaka został rozbitý — przyczyna początku niepowodzeń Michalaka w oczach dyspozytora Jana Gutowskiego jest bardziej przyziemna. — Dostał uczennice, a one tak dobrze, jak doświadczony tkaczki, od razu pracować nie będą. Dlatego, gdy nie dostał w czwartym kwartale premii, pierwszy podpisał mu wniosek do dyrektora, że ze względu na trudne, obiektywne warunki, powinien ją otrzymać.

— W zespole pracował wtedy młody, niedoświadczony mechanik — mówi Krzysztof Bałazy. — Obsługiwał czterdzieści krosien, a że nie dawał sobie rady, zawałał jakoś całemu zespołowi. Gdy w połowie lutego przyszedłem na jego miejsce i po kilkunastu tygodniach doprowadziłem maszyny do należytego stanu, wyniki są lepsze.

— Tłumaczenie, że uczennice, że mechanik o małym stażu i że ktoś dwa tygodnie chorował, jest dla mnie żadne — stwierdza inżynier Koćwin. — W przemyśle są zadania i trzeba je wykonać. Jakim sposobem, nie moja sprawa.

— Czy uczennice dają się słabemu mistrzowi, który siłą rzeczy będzie słabym nauczycielem?

— To są kwalifikowanie tkaczki po szkole i praktyce — ocenia kierownik Wydziału Tkalni.

— A ja myślę, że gdyby Michalak poszedł do szefów, pogadał, mógłoby się to dla niego skończyć zupełnie inaczej — refleksyjnie rzuca jeszcze Jan Gutowski. — Ale on — pominął

zwierzchnik Michalaka, właśnie Jan Gutowski; szefem komisji — kierownik Szymajda. Nie widział więc sensu, by w sprawie decyzji odwoływać się do tych samych ludzi, którzy ją podjęli. Nie chciał jednak od razu wychodzić z nią poza zakład. Dopiero, gdy nie doczekał się zdecydowanego stanowiska KZ-u, zwrócił się do Terenowej Komisji Odwoławczej. Tylko dlatego, że była to dla niego ostatnia droga, na jakiej mogło dojść nie do wyroku, lecz polubownego rozstrzygnięcia.

— W rozmowach z ludźmi wychodzi brak w zakładzie związków zawodowych — mówi przewodnicząca ZZ ZSMP, Ewa Kurpiewska. — Mówią, że w tej chwili nie ma się do kogo zwrócić, szczególnie w sprawach konfliktowych. Nasza organizacja praktycznie nie ma w tej kwestii wiele do powiedzenia. Owszem, pomagamy naszym członkom, jeśli zwrócą się z jakimś problemem, ale raczej na zasadzie dogadania się niż prezentowania swego stanowiska.

Komisja socjalna zawiązała się w „Narwi” już w grudniu ubiegłego roku. Mogł do niej przyjść każdy, nikt nie patrzył na przynależność związkową lub inną. W zakładzie zawsze zresztą współpracą między „Solidarnością”, branżowcami i kierownictwem układała się nieźle. I to do końca.

— W sferze socjalnej pracownicy raczej nie odczuwają skutków zawieszenia działalności związków — mówi Michał Fedyszyn, szef zawieszonych branżowych. — Komisja i dział socjalny zrobiły naprawdę sporo. Gorzej, że jest luka, jeśli chodzi o sprawy ludzkie: zwolnień, przeszerogowań, sytuacji konfliktowych. Związki w takich przypadkach dzia-

łować zdecydowane stanowisko. W tej chwili ciała takiego w zakładzie nie ma. Pracownik praktycznie zdany jest na samego siebie.

Przy ZKON-ie działa od niedawna zespół do spraw stosunków międzyludzkich. Michalak jednak nawet nie słyszał o jego istnieniu.

Sekretarz KZ-u, Jan Łukasik, zawierał argumentowi kierownika Szymajdy, że ludzie nie chcą z Michalakiem pracować. Obecnie widzi sprawę jakby trochę inaczej: inni mistrzowie nie chcą zostawić swoich zespołów i przechodzić tam, gdzie są zaniedbania. I na ich postawę osoba Michalaka raczej nie wpływa. On sam nie godzi się przejść do innego zespołu, bo chciałby pokazać, że z dobrym trzecim mechanikiem, zmiennikiem już doświadczonymi uczennicami — jest coś wart.

— Jest jednak niesmak: nikt po trzynastu latach pracy nie zdobył się na to, by tę sprawę z nim rozwiązać po ludzku — mówi.

— Nie jest dla mnie argumentem to, że ktoś się kiedyś wyróżnił — skwitował moje wątpliwości, dotycząc gwałtownej zmiany oceny długoletniego pracownika, dyrektor Pałęga. — Mogliśmy się mylić w osądzie przedtem, może nie mylny się teraz.

— Pan wie, jak kiedyś być z tymi opiniami? — znacząco zapytał inżynier Koćwin.

— Nie karaliśmy Michalaka tylko dlatego, żeby podtrzymać jego prestiż jako mistrza — argumentuje ze swoistą logiką kierownik Szymajda. — Zresztą jeśli przejdziemy na małe zespoły, Michalak pewnie znowu będzie mistrzem i nie ma o czym dyskutować. Tym bardziej że na zarobkach na razie nie traci.

Nie traci. Może nawet będzie znowu mistrzem. Może nie będzie już musiał włożyć się po komisjach, opowiadać swego życiorysu dziennikarzowi. Tylko że jemu akurat nie idzie tylko o pełną misę, kilkaset złotych, tytuły. Chodzi mu o dro-

kontakty kontaktów

7
KONTAKTY
27 VI 1982

W numerze ósmym „Kontaktów” ukazała się krótka recenzja „Vademecum turystycznego” naszego województwa. Kiedy przewertowałem kilka stron poświęconych Łomży, stwierdziłem, że sporo tam nieścisłości. Plan śródmieścia nie jest aktualny: kawiarnia „Martini” nigdy nie znajdowała się za Ratuszem, lecz w innym kwartale ulic; „Bar Jubileuszowy” dawno zlikwidowano, a „Babinka” nazywa się „Bona”. Muzeum przeniesiono na Krzywe Koło, natomiast Urząd Wojewódzki — na ulicę Nową. Nie istnieje już połączenie ulicy Żydowskiej z Wozniowską, ani zbieg ulic Kierzkowa — Wąska i Kanalna.

Plan ogólny Łomży powielił błąd pokutujący już od 20 lat. Gdy w 1963 roku przebudowywano plac Kościuszki, konieczny był objazd do Piątnicy ulicą 1 Maja i Wiejską. Owcześnie „ugięcie” prostej dziś trasy przejazdu na stałe utrwaliło się w mapach. Czy drukując książkę w 1981 r. trzeba było cytować dane z roku 1978? Mamy przecież rodzimy Wojewódzki Urząd Statystyczny, który wszystko liczy na bieżąco!

W „Vademecum” napisano: „wybudowano gimnazjum żeńskie przy ulicy Bernatowicza i przebudowano Kolegium popijarskie na gimnazjum męskie”. Bujda, było akurat odwrotnie!

Przypuszczam, że katedra nie jest budowlą halową, lecz bazylikową — przynajmniej na taką wygląda. A barokowa plebania stoi na pewno przy biskupim pałacu, nie przy placu. Natomiast pisać o gmachu monopolu wódczanego przy ulicy Śniadowskiej (dziś Świerczewskiego) chyba myślnie o czerwonym budynku będącym dawną siedzibą Technikum Ekonomicznego, położonym przy ulicy Armii Czerwonej.

Skoro tyle jest potknięć i nieścisłości na kilku stronach, ile tego być może na stu pozostałych?

ZDZISŁAW G.

Łomża

(nazwisko do wiadomości redakcji)

★

W 1980 roku padła mi jedyna, jaką posiadałem, klacz. Mimo że drugiego konia nie kupiłem, składkę PZU płaciłem za nią jeszcze przez dwa lata. Później zgłosiłem się z prośbą do Urzędu Gminy w Klukowie, ażeby suma wpłacona za klacz została przeliczona na okres następny. Urząd nie wydał żadnej decyzji, tylko skierował mnie do PZU w Wysokiem Mazowieckiem.

Wkrótce po tym przyjechała do mnie kontrola, której wynikiem było dopisanie do moich opłat ubezpieczenia za 6 sztuk młodego bydła, kupionego do odchowu. Nikt nie mówił wówczas o odliczeniu wcześniej wpłaconej przeze mnie kwoty za ubezpieczenie klaczy, której dawno nie posiadałem. W tej chwili mam już tylko dwie sztuki z zakupionego wtedy bydła, bo 4, zgodnie z pierwotnym zamiarem, sprzedałem. Wydaje mi się, że cielaki, które kupiłem od odchowu, były już ubezpieczone, więc chyba nie miałem obowiązku dodatkowo je ubezpieczać. Myślę, że niesłusznie przez 2 lata płaciłem ubezpieczenie za klacz i również niesłusznie doliczono mi składki za kupione sztuki bydła.

Odwołanie w tej sprawie składałem do wojewody, ale przez okres dwu miesięcy nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Natomiast Urząd Gminy w Klukowie szybko wypełnił swoje obowiązki i prawie od ręki obliczył moje dodatkowe zobowiązania pieniężne, które wkrótce musiałem uregulować. Szkoda tylko, że zapomniano w Urzędzie Gminy i w PZU o odliczeniu sumy, którą wcześniej wpłaciłem.

WLADYSŁAW TOCKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

CZESŁAW HERONIMCZUK
Kuczyn



układem



swoich kierowników i od razu poszedł do KZ-u, a teraz poza zakład. To prawda. W zakładzie jest przecież niższa komórka, OOP; jest komisja socjalna. Szefem pierwszej jest jednak bezpośredni

łaty czasem na zasadzie wymuszeń, ale raczej tylko wtedy, gdy uważały, że ich stanowisko jest słuszne i sprawiedliwe. Poza tym podlegały, zgodnie z kodeksem pracy, nienii i mogły w takiej sytuacji

biagz, o jakim tyle razy już zapomniano. Patetycznie nazywa się on godnością.

KOZAK BUDOWAŁ
DNIEM I NOCĄ

Jedyna w Dąbrowce ulica prowadzi wzdłuż wsi do promu. Na końcu, za zakrętem, stoi stara, pobielona chałupa Zmudziny, wdowy samotnie mieszkającej. Mało kto we wsi pamięta, kiedy ją budowano. Po drugiej stronie ulicy — ceglany piętrowy dom postawili Kozakowie.

Pierwszą kupę gnoju Zmudзина rzuciła pod Kozakowe okna wiosną 1971 roku.

— Edward Kozak — twierdzi Zmudзина — budując dom, wiedział, co się znajduje na moim podwórku. Interweniowałam, żeby koło mojego nie budował, a on budował dniem i nocą. Ja mam 60 lat i w koszyku gnoju gdzie indziej nosić nie będę.

Kozaki dom pobudowali taki, że jak słońce po drugiej stronie rzeki stanie, cień domu pada na pobieloną chałupę obok.

— Co my się z tym domem naganieli — mówi Kozakowa — co nakłopotili! Człowiek nieraz nie dojadł, nie dospał, i teraz wszystko na marne. Gnoj cały rok śmierdzi, ani okna otworzyć, bo jak? A Zmudзина twarda sztuka, zrzuci gnoj pod okna, choć mogłaby gdzie indziej przecieć. Z zemsty, że my taki dom pobudowali...

ODEPCHNAŁES MNIE
SŁOWAMI

Równo 10 lat temu Kozakowa z mężem robi pierwsze interwencje. Przyjeżdża komisja, oglądają, Sanepid z Krakowa wydaje opinię: „Zwraca się uwagę na konieczność uregulowania odpływu gnojówki, gdyż tworzą się rozlewiska i może stąd wynikać zagrożenie epidemiologiczne dla pobliskich studni”.

Na podstawie tych werdyktów naczelnik gminy wydaje nakaz Zmudzynie, aby gnoj spod okien usunęła. Zmudзина się nie zgadza. Kozakowie ponawiają interwencję, tym razem u wojewody. Naczelnik otrzymuje nakaz załatwienia sprawy. Zmudзина na pisma reagować ani myśli. Naczelnik wysyła ekipę z SKR-u i ta gnoj spod okna wywozi na pole. Przychodzi rachunek za usługę, Zmudзина płacić nie chce. Znow gnoj składa pod oknami Kozaków.

Komornik zabiera Zmudzynie beczkę na wodę i silnik — ekwiwalent za przymusowe usunięcie obornika. Przyjeżdża brat Zmudziny, składa u naczelnika skargę: „Szczególny naczelniku, może teraz mnie wystuchasz, bo przedtem odepchnałeś mnie, przyjeżdżnego, nie rękami, lecz słowami. Pytam jak długo będę czekał na moją własność, bezprawnie zabraną. Wy jesteście wybrani na naczelnika — Matkę Gminy, a ściągacie koszule z tej biednej wdowy. Żądam zwrotu silnika i beczki na wodę”.

BOKSOWAŁ JĄ PO RĘKACH

Mija rok, drugi i trzeci. O sprawie gnoju dowiadują się kolejno: Radio i Telewizja w Warszawie, Ministerstwo Sprawiedliwości, kilka pomniejszych instytucji. Listy ślą obie strony: Kozakowie do Ministerstwa, to Zmudзина też do Ministerstwa; Zmudзина do Komitetu RTV, to Kozakowie też. Pisma z samej góry wędrują na sam dół, aż docierają do naczelnika. Naczelnik wydaje za każdym razem Zmudzynie nakaz wywozu gnoju gdzie indziej. Przytacza argumenty Sanepidu: „Według wypowiedzi sąsiadów — Zając Marii i Stefana dzieci ich padają do gnojówki, a kiedyś doszłoby do tragicznego utonięcia dziecka”.

Zmudзина zmienia taktykę. W liście do władz tłumaczy: „Jestem chora, przeszłam zakaźną żółtaczkę”. Ale naczelnik nalega, więc obraża go w Urzędzie. Potem jednak śle „na ręce Pana Naczelnika” przeprosiny za obelgi. Wygląda na to, że spuści z tonu.

A sztab ludzi w Urzędzie opracowuje szczegółowy szkic sytuacyjny. Są tam wszystkie newralgiczne punkty: główna ulica Dąbrowki, dom Kozaków, chałupa Zmudziny,

ścieżki, studnie, miejsca, gdzie gnoj jest zrzucany i gdzie proponuje gmina.

BOKSOWAŁ JĄ
PO RĘKACH

Zmudзина zalecenia ignoruje, wobec tego po raz drugi naczelnik nakazuje ekipie wywiezienie gnojówki w pole. W czasie, kiedy ludzie ze spółdzielni przerzucają gnoj na przyczepy, krewka Zmudзина trzymana jest przez milicjantów za ręce. „Urząd Gminy dokonał na mnie, wdowie — pisze potem skargę do władz — barbarzyńskiej działalności”. A brat Zmudziny dodaje do tego w innym jeszcze liście: „Przyjechała, łapią ją za ręce i wołają — dawaj Zmudzino pieniądze, bo jak



nie to my ci pokażemy! A Obywatel Nieznajomy boksował ją po rękach”.

JESTEM DO DYSPOZYCJI

Zmudзина nie rezygnuje i nadal wywozi gnoj pod okna Kozaków. Po raz kolejny Kozakowie odwołują się do Ministerstwa Sprawiedliwości: „Ja, Kozak Maria i mój mąż Kozak Edward zwracamy się z zażaleniem by sprawiedliwości stało się zadość”.

Przed jedynym sklepem przy głównej ulicy ludzie komentują te wydarzenia: dziwią się Zmudzynie, że taka zajadła; współczują Kozakom.

Brat Zmudziny pisze następne pismo. Tym razem na niebieskiej kopercie kaligrafuje nazwisko i sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka. Opisuje czasy, kiedy jeszcze Kozakowski dom tu nie stał i Zmudзина mogła gnoj wyrzucać, gdzie jej się podobało. „A nikt Kozakom — argumentuje — nie kazał tu akurat domu budować. Chcieli niech teraz cierpią. Zmudзина w końcu gnoj wyrzuca na swoim, nie na czyim innym. W razie jakich wątpliwości, jestem zawsze do waszej dyspozycji, towarzyszu Gierku” — deklaruje na koniec.

Sprawa trafia na powrót, przez Urząd Wojewódzki, do Urzędu Gminy. Powstaje drugi szkic sytuacyjny.

SIEKIERĄ DOSTANIE!

Urząd nie widzi potrzeby ponownego zajmowania się sprawą. Tyle razy wydawał opinie i nakazy, tyle razy sprawa w nim stawała, tyle wysokich urzędów pisało i nie. Dwa razy gnoj wywożono w inne miejsce. Zmudзина płacenia odmawia, odgrzążając się jeszcze. „Chcę wam oświadczyć — rozsyła oświadczenia

— że ja składowiska obornika robić nie będę. Jeżeli mi kto przyjdzie na moje podwórko w sprawie mojego obornika, to co mi wejdzie pod rękę, czy siekiera, czy hak jaki, czy widły — to tem po tobie dostanie i nie odpowiadam gdy co zaistnieje. Wybudował Kozak dom na siłę koło mojego obornika to niech teraz cierpi!”

POMIESZANIA ZMYŚŁÓW
MOŻNA DOSTAĆ

Kozakowie też nie rezygnują. W końcu w domu przez tę kupę gnoj okna otworzyć nie idzie, bo muchy do mieszkania wpadają, a i córki za mąż wydać nie można, bo jak kogo w gości zapraszać? Łat-

wybudowano tu most, Dulcza nie na końcu, a na samym koniuszku świata by leżała. Taki most łączy jednak jeden teren z drugim.

WYSTARCZA DWIE WYWROTKI

Wybrałem nie najlepszy dzień na przyjazd do Radomyśla. Na stanowisku jest tylko I sekretarz Komitetu Gminnego, Adam Swół. Rysuje na kawałku papieru most w Dulczy Małej.

— Po mojemu, choć nie jestem fachowcem, wystarczy tam nawieźć dwie wywrotki twardego kamienia, utwardzić, ziemią przysypać, i będzie grało. A tak, sam pan widzi...

No, właśnie. Przyjechałem z dokumentem pod tytułem „Ocena stanu realizacji interpelacji radnych z gminy Radomyśl Wielki”, gdzie na stronie pierwszej stoi wypisane: „wnioski, które powtarzają się kilkakrotnie lub nie zostały prawidłowo zrealizowane, dotyczą m.in. naprawy dziury w moście we wsi Dulcza Mała”.

Sekretarz obraca papier w rękach i mówi z troską: — Taaak, ta dziura w moście to cała historia...

ONA MUSI CO ROKU
POWSTAWAĆ

Nikt nie zna sprawy lepiej od Jarosza Władysława, tego samego, którego dziadek już w osiemnastym roku kawał lasu i ziemi w Dulczy od Żydów kupił i zaraz ją rozparcelował, chłopom po kawałku posprzedał. Jarosz to miejscowy gospodarz, posiadacz stawów rybnych, lasu i pola. Niedawno wybrany został na przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Radomyślu.

— Chłopi mnie wybrali, panie korespondencie, chłopi, nie urzędnicy. A ten most znam jak nikt, to jakby moja dziura. Najpierw był most, zbudowany równo siedem lat temu. Po roku, na wiosnę, wystąpiła dziura. Taka wielka, że chłopca z dwoma końmi przykryje. Ta dziura musi powstawać co roku, bo most zbudowany był byle jak; materiału zabrakło. Pewnie że interweniuje. Nie powiem, żeby odpowiedź nie było, są, ale odpowiedzią dziury nie zatka. Ludziska zasypują piachem, bo tu piach wszędzie. Jak nie ma deszczu, to wszystko gra, ale przyjdzie deszcz, dziura wyskakuje, że strach. Zresztą, możemy tam pojechać.

Ludzie wychodzą z domów, patrzą na „komisję” sceptycznie. Nic dziwnego: komisji na moście przez te Jaroszkowe 2555 dni za wiele nie było, ale za to ile ponagleń, wniosków, uchwał i rezolucji! Nic nie pomogło. To co, teraz nagle mieliby pomóc?

— Ja tyle lat jestem radnym, tyle lat o tym mówiłem i różnie robiłem: prosiłem i straszyłem. Kiedyś mówiłem tym w gminie tak: ludzie, zróbcie coś z tą dziurą, bo nie-szczęście jakie będzie. W dzień jeszcze nie, wielka jest, to ją widać, ale niech tam nocą ktoś się rozpedzi. Mówiłem: ja nie chcę iść się dzieć zróbcie coś.

INTERPELUJEMY Z FRANKIEM

No, może Jarosz z tym straszeniem urzędników perspektywą pójścia za kratki przesadza, ale tylko trochę. Pewnie, jeszcze nie z tego tu się nie zdarzyło, lecz konie nogi łamały nieraz, a i maszyna do pola nie przejedzie.

— Interpelujemy — mówi Jarosz — na zmianę z Frankiem Kulpa, tym, co koło stawu mieszka, przy moście. Ja sam nie mogę, to byłoby podpadające, więc raz na sesji interpeluje Franek, raz ja. Jak tylko ja interpeluję za często, to w Urzędzie obrażają się na mnie. Była kiedyś taka sprawa, że kiedy szło na sesję do mnie zaproszenie, to za późno przyszło. Niby że poczta przetrzymała. A mieszkam w budynku poczty przecieć.

SEKRETARZ
DZIURY NIE ZNALAZŁ

Trzeba uczciwie przyznać, że Urząd był sprawą zainteresowany. Nie można powiedzieć, żeby dziura zostawiana była po interpelacjach



samopas. Jako się rzekło, bywała po deszczu zasypywana piachem.

Władze odpowiadały, ślały ludzi, robili, co mogli. To wszystko jest w dokumentach zaznaczone. Na przykład trzy lata temu sekretarz Urzędu Gminy wziął delegację i pojechał do Dulcy. Do Dulcy można dojechać PKS-em (to jakieś trzy kilometry) z Radomyśla. Trzeba wysiąść na ostatnim przystanku, przejść pięćset metrów i już jest most, za zakrętem zaraz.

Ale sekretarz albo wcześniej wysiadł, albo co, bo mostu nie znalazł. A może znalazł ten drugi, też dziurawy, bo wkrótce z Urzędu nadeszło pismo: „Zlecono dróżnikom, żeby skontaktowali się z radnymi wnoszącymi interpelacje w sprawie wskazania, który to most w Dulczy wymaga remontu, bo w Dulczy Małej są dwa mosty”.

CEMENT MOŻNA DOSTAĆ

Oficjalne stanowisko urzędu gminy zaprezentował mi w pośpiechu, urwawszy się z narady z wicewójewodą, sekretarzem Urzędu, Jan Ziobron. Wygląda ono tak. Sprawa mostu w Dulczy Małej i powstającej w nim rokrocznie dziury nie jest łatwa. Most jest wadliwie wykonany i żadne — ale to żadne — doraźne naprawy nie skutkują. Poza tym drogą opiekuje się wieś, a mostem — chyba Rejon Drob Publicznych, ale dokładnie nie wiadomo, bo potok Jamnica, którego oba brzegi most spina, może podpadać pod meliorację, czyli WZIR w Tarnowie. WZIR tłumaczy się, że jemu to nie podpada, bo potok jest nieuregulowany. No i co, łatwa sprawa?

Faktycznie, nie taka znowu łatwa. — Poza tym tak: tam trzeba dać cementu trochę. Musiałoby być poparcie w czynię. Można dać cement, ale ludzie muszą sami zrobić.

LUDZIE MOGĄ ZROBIĆ

— Ludzie mogą to zrobić, ale musi być cement — mówi sołtys Dulczy Małej, Mieczysław Szatek. — Jak dziura wyjdzie, trzeba po trzy przyczepy piachu wozić. A jak my drogę budowali, to dziennie po 150 ludzi stawało z łopatami.

Sołtys dobrze wie, jak to jest, kiedy zapala ludzkiego sporo, a materiału nie ma. Właśnie dopiero co wrócił z Mielca. Po gwoździe pojechał, bo dom synowi stawia. Wystał się w kolejce, a sklepowa mówi: „Nie, tyle pan nie dostanie, mowy nie ma”. I zamiast 10 kilo — przywiozł gwoździ na deka.

— Z cementem tak samo. Nie będzie, to dziury nigdy nie zalepiemy.

BEZ PRZYWILEJÓW W KOSZYCACH

W remizie wszyscy zaproszeni zebrali się po to, aby uczcić finał długoletnich dzieł budowy Obiektu. Oczywiście, najlepiej cała historia znana jest Panu Głuszkowi; jego też dziełem jest skrócona wersja dzieł budowy. Pomysł wybudowania Obiektu narodził się jeszcze w roku 1974. „Potrzeba jego istnienia społeczeństwo naszej wsi już od dłuższego czasu dotkliwie odczuwało” — napisał Pan Głuszak.

Kłopoty zaczęły się jednak w Urzędzie Wojewódzkim w Tarnowie. O ile Urząd Gminy wstępnie opinię o zezwolenie na budowę wydał w ciągu 18 dni, o tyle w Urzędzie sprawa załatwiała się 4 lata.

Tymczasem jednak zaczął działać w Koszycach Społeczny Komitet Budowy, składający się z przewodniczącego, sekretarza i 14 członków. W ślad za tym poszła po wsi akcja propagandowa. Dzięki niej 350 mieszkańców zadeklarowało własnoręcznymi podpisami „świadcząc wkładem pieniężnym po jednym tyśiącu złotych oraz pracownictwem od 10 do 15 dniówek pieszych” — co odnotowano w „Kronice”.

BUNT OPOZYCJI

Nie oznacza to wcale, że w Koszycach nie było przeciwników budowy Obiektu lub po prostu ludzi mu niechętnych. Opozycję Społeczny Komitet Budowy musiał ustawnie zwalczać, bo mogłaby zaistnieć możliwość zarażenia jej

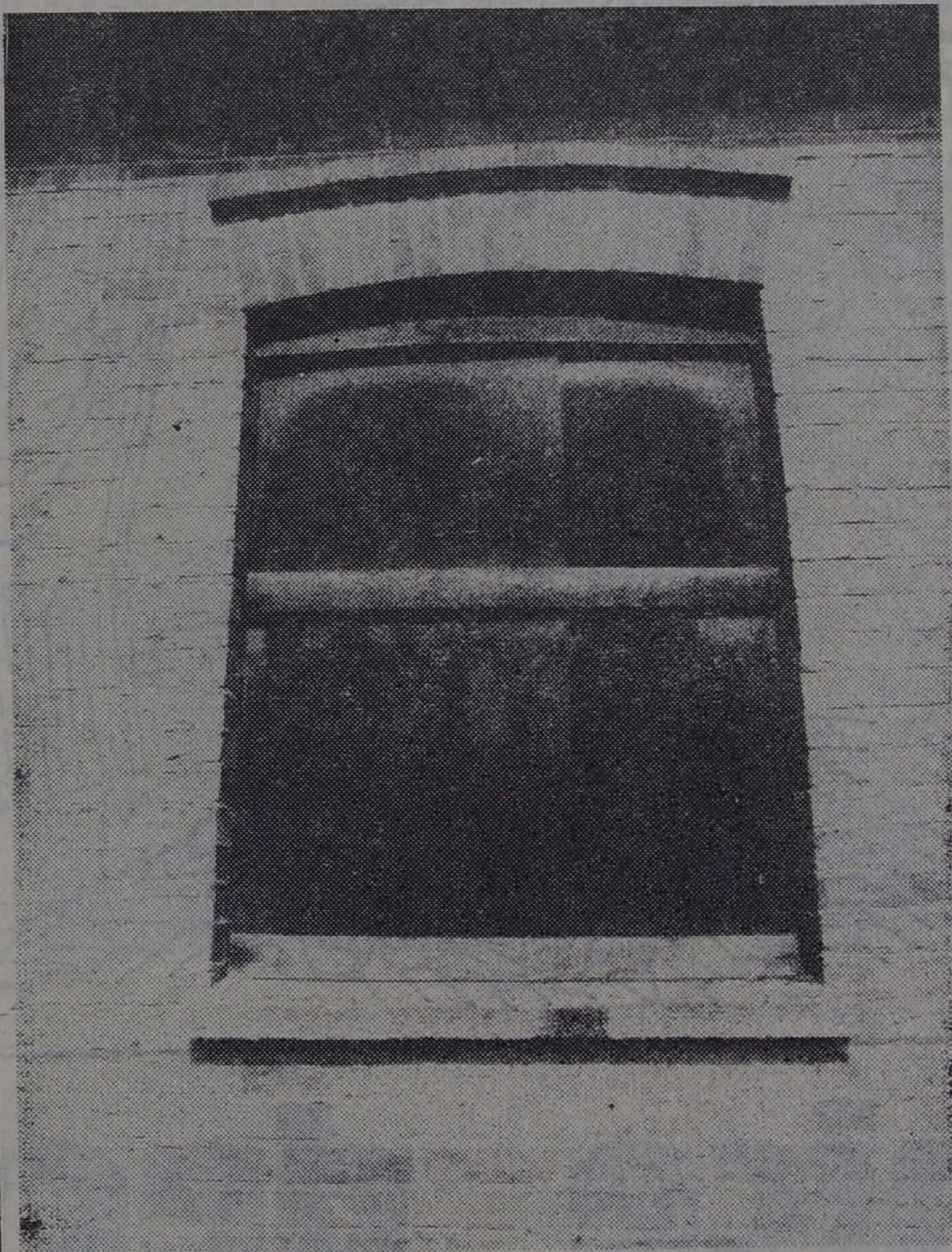
wstecznymi ideami całej (albo — co gorsze — także sąsiedniej) wsi.

Trzeba przyznać, że opozycja miała w ręku mocne argumenty: wobec niechęci władz wojewódzkich starania nie mają sensu i tylko odwracają uwagę mieszkańców od ważniejszych problemów codziennosci; społeczny zapal należy inaczej ulokować, pieniądze ludziom pooddawać i nie zawracać sobie tym głowy.

Społeczny Komitet nie patrzył na rozwój sytuacji z założonymi rękami. Najwięcej czasu przy wstępnych staraniach o wydanie oficjalnego zezwolenia na budowę poświęcił i „sprawę w całości pozytywnie załatwiły trzy kobiety: Baradziej Irene, Malec Danuta i Przybyło Józefa” (z przemówienia Pana Głuszaka). Korzystny wynik negocjacji z Urzędem pomyślnie odbił się na całej sprawie. Mieszkańcy znowu zaczęli „wplacać i deklarować dniówki piesze”. Tylko 22 rodziny z Koszyc „nie przepracowały ani godziny, nie pokazały się na placu budowy ani też nie wpłaciły zadeklarowanej sumy” (z przemówienia Pana Głuszaka).

PLOTKI

A jednak czy to niedostatecznie rozprawiono się z opozycją, czy też może lichych użyto argumentów — dość, że po jakimś czasie, kiedy Jochim z Woli kończył budowę wodociągu, a Warchol, Szatko i inni kończyli ogrodzenia, i wszystko zdawało się zmierzać do szczęśliwego końca, pojawiły się nagle — ni stąd, ni zowąd — jadowite plotki.



— Obiekt będzie ładnie położony, na wzgórzu, tylko patrzeć, jak różni ważni z Tarnowa zaczną się starać o miejsce i dla nas nie starczy.

— Podobno już jeden taki ma tu plac zaklepany... — I tak dalej. Ale Społeczny Komitet czuwał. Tłumaczono niedowiarkom cierpliwie, że plotka wysuwa argumenty nielogiczne. No, ostatecznie gdyby szło o te kilka miejsc... Ale przecież reszta (a będzie tego niemało, PGR w Radlniej oddał przecież 83 ary) dla nas!

ZGODNIE Z PROTOKOŁEM

I wreszcie przyszedł ten sobotni wieczór, który — według słów Nauczyciela — „przejdzie do historii naszej osady”. Ruch trwał od rana. Zmobilizowano, poza Społecznym Komitetem, czuwającym nad szczególnym ukoronowaniem kilkuletnich zabiegów, także Koło Gospodyń

Wiejskich oraz kilku, udzielających się społecznie, mieszkańców.

— W takich chwilach — mówi Nauczyciel — na obywateli naszej osady zawsze można liczyć.

Już wszystko na swoim miejscu: stoły, krzesła, zielone sukno na prezydialnym — tak że sala remizy zamienia się w konferencyjną. Członkinie Koła Gospodyń uwijają się na zapleczu. W odpowiednim momencie, tuż po przemówieniu Pana Głuszaka, na stoły podane będą w kolejności: sernik, makowiec, ciasto kruche i ciastka, a także, krajana w grube plastry, kielbasa zwyczajna i — na osobnym talerzyku — sałatka warzywna. O to już zadbał o sobiście sam Pan Głuszak, posiadacz trzech szklarni, a menu ustalono na miesiąc przed Otwarcem. No i jeszcze dania gorące, ale te później: coś z mięs. Ponadto — wódka czysta.

Póki nie przyjadą goście (podobno ma być sam Naczelnik), można wszystko poustalać. Ceremonia musi wypaść okazale, bez żadnych pomyłek. Za stołem prezydialnym usiądą obok siebie: Pan Głuszak, Ksiądz, Nauczyciel, Naczelnik, Sekretarz, Sołtyska — sześć, góra osiem osób. Każdej dziewczynka w stroju krakowskim da po kwiatku. Tylko uważać: dopiero jak usiądą za stołem, nie przy wejściu, bo zrobi się bałagan. Napierw wręczy Panu Głuszkowi, potem gościom z gminy, potem Księdzu, na koniec — innym.

OSTATNI TOAST

Rozpoczynają się mowy oficjalne. Pierwszy jest Pan Głuszak z prze-

spiecia



9

KONTAKTY
27 VI 1982

W Dniu Ochrony Środowiska Narew wyrzuciła przy moście w Piątnicy okazałe cięło. Podpuszczony czasookolicznością pracownik Urzędu Gminy natychmiast zadzwonił do Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska UW w Łomży z prośbą o usunięcie padliny. Doprawdy karygodne to złamanie biurokratycznej procedury! Gdyby zastosował pismo, poczekał czternaście dni na odpowiedź, odwołał się od negatywnej decyzji i zacheł na ponowne rozpatrzenie, cięło samo — bez zbędnych kosztów transportowo-technicznych — wpelzłoby sobie pod trawkę.

*

W związku z licznymi prośbami Czytelników o zamieszczanie łamigłówek, rebusów i tym podobnych gier, dziś inauguracyjną zgaduj-zgadula: asfaltowy dywanik w osiedlu Jantar w Łomży urywa się nagle pod blokiem numer 7 przy ul. Staffa; który z pracowników Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej mieszka pod „siódmką” — prezes czy sprzątaczką?

P.S. Rozwiązań prosimy nie nadsyłać. Wiemy. Również to, że oczekujecie na przydział.

*

Jeden z pracowników WAZNEJ INSTANCJI FRONTU IDEOLOGICZNEGO w Łomży dotaszczył niedawno do punktu skupu makulatury dwie potężne, oryginalnie zapakowane, paczki z materiałami z centrali. Zainkasował za nie osiem rolek twardego, szarego papieru toaletowego. Fakt ten wreszcie niepodważalnie dementuje bzdurne pogłoski, jakoby promieniści w dalszym ciągu podcierali się dolarową perfumowaną bibułką w kwiatki oraz że — zamiast ruszyć głową — ciągle czekają na odgórne instrukcje.

*

Naczelnik gminy Klukowo nie pozwala młodzieży urządzać żadnych zabaw; nie zrobił wyjątku nawet w Święto Ludowe. I słusznie. Obrosła za kilka lat w urzędy i zastugi, to się jeszcze wyszumia.

*

Droga na odcinku Wareholy — Rosochate od lat podobna jest do afrykańskiego traktu przez dżunglę tuż po monsunie. Cierpliwi mieszkańcy obu wsi proszą Urząd Gminy w Czyżewie, by nie modernizował jej przynajmniej przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Dowiedzieli się bowiem, iż w Afryce kończą asfaltować ostatnie ścieżyny, licząc więc, że wkrótce uda im się przejechać organizację Rajdu Safari.

*

Na zabawie w Sutkach wypito pięć beczek piwa. „Uwinęlim się przed północą” — pamiętają mieszkańcy wsi. Nie było to więc żadne chłanie, ale zwykła degustacja.

*

Czytelnikowi, który w liście (cytuje w całości: „Ty p... k..., jak się nie uspokoisz, to ci p..., że się h... j... nie polapiesz”) obraził mnie inwektywą „klapouchu jeden”, uprzejmie wyjaśniam, że nie wszyscy od prasy w tym kraju porastają w małżowiny



Pan Wiesio zdał maturę. Polecieliśmy w te pędy z przyjacielską wizytą, ale przyjął nas kwaśno. Studiował właśnie informatory dla kandydatów na wyższe uczelnie czy coś w tym rodzaju. Decyzja, rzecz można, życiowa, trzeba do niej podejść w skupieniu i samotności. Już chcieliśmy się wycofać, kiedy zapytał, uśmiechając się niepewnie, co zrobilibyśmy w jego sytuacji.

Poprosiłem o chwilę do namysłu, bo, słowo daję, ciarki mnie przeszły na myśl, że musiałbym w dzisiejszej sytuacji wybierać sobie zawód, tymczasem zaprzyjaźniony magister farmacji na wyprzódki z inżynierem mechaniki zaczęli rozstrzygać projekty karier, godnych pozazdrośczenia w najlepszym nawet towarzystwie.

— Drób, powiadam panu! — gorączkował się magister, wyliczając na palcach pożytki. — Praca w korporacyjnych dla zdrowia warunkach, zapewniony rynek zbytu, pełna niezależność...

— Co, pan gazet nie czyta? — skarcił go inżynier. — Skończyła się kukurydza, a drób wypadł już nawet z systemu kartkowego. Biorąc pod uwagę niskie wymagania, niezwykłą płodność, a także zwykłe tendencje na rynku futrzarskim, i to już od trzeciej dekady września, stawałbym zdecydowanie na króliki.

Pan Wiesio przysłuchiwał się bez słowa, z cokolwiek zagadkowym uśmiechem na twarzy. Wreszcie przerwał: — Czy wiecie, panowie, co od najbliższych zbiorów będzie można kupić za skórę tchórza?

— Ba, zbieractwo! — prychnął inżynier mechanik. — Ja tu mówię o wyższych stadiach rozwoju! — I zamilkł, urażony jakby. Magister far-

byle kij w garści

czyli rozmowa z maturzystą

macji również nie kwapił się ze zgadywaniem, wietrząc w tym zapewne jakiś podstęp.

Atmosfera stawała się nieprzyjemna. Zagadnąłem więc o przebieg tegorocznych matur, z czystej grzeczności. Gospodarz zbył to milczeniem.

— Mówi się w pewnych kołach, że po raz ostatni były łatwe — ciągnąłem.

— Jak dla kogo — mruknął pan Wiesio.

— Czytałem, że w przyszłym roku mają być dla jakichś powodów zastrzeżone — nie dawałem za wygraną.

— Pisałem o Broniewskim — odparł gospodarz z wyraźną niechęcią. — W końcu nie trzeba mieć średniego wykształcenia, by odgadnąć tematy egzaminów maturalnych. Z matmy zaś dostałem ściągę.

— A na studia nie wybiera się pan? — zapytałem ostrożnie.

Speszył się w pierwszej chwili; wyższe wykształcenie w naszym społeczeństwie, to jednak rzecz wstydliva. Niedospanie, nerwówkę, materialny niedostatek można przez kilka lat jakoś znosić, ale opóźniony start i permanentnie niższe zarobki kładą się cieniem na całe życie.

— Wie pan, nie czuję się na siłach.

— Egzaminów wstępne będą w tym roku opóźnione. Jest jeszcze dużo czasu, by się należycie przygotować — judziłem słodko.

Pan Wiesio wykręcił się jednak: — Nie chcę robić konkurencji dla tych bez egzaminów.

— W takim razie — westchnąłem — trzeba szukać zajęcia w gospodarce uspołecznionej.

Chwyciło.

— Owszem, tylko trudno mi się zorientować, które przedsiębiorstwo byłoby najlepsze. W jednym (wie pan, jak to jest) przydzielają pracownikom koldry i materiał na garnitury, a w drugim tylko pastę do zębów. Pytałem już o te sprawy w wydziale zatrudnienia, lecz pracujące tam kobiety ofuknęły mnie tylko. A pan, przepraszam, co dostaje w pracy?

— Obiecano mi skarpety w trzecim kwartale — odrzekłem lekko skonfundowany, po czym na pół odruchowo podkuiliłem nogi.

Pan Wiesio nie krył rozczarowania: — Wobec tego chyba nie zaciągnę się do dziennikarstwa — powiedział, a po chwili, nie krępując się zupełnie, zaczął sobie podśpiewywać: „Byleby but był mocny, byle kij był w garści...”

— Ejże, a ile ma pan lat? — zainteresował się ponownie magister farmacji.

— Jak to, dziewiętnaście — pan Wiesio sprawiał wrażenie dotkniętego, może niezbyt mocno. Pokiwalismy głowami ze zrozumieniem, maturzysta zaś, straciwszy zainteresowanie nie tylko dla mojej osoby, podśpiewywał coraz swobodniej, studiując swoje papierzyska: „Co mi tam śniegi... co mi tam piaski...”

Pożegnałem się spiesźnie i wyszedłem. Później trochę żałowałem, że nie dowiedziałem się, jak to ma być z tchórzami po żniwach. Po tygodniu, spotkawszy przypadkowo magistra farmacji na ulicy, zagadnąłem o to.

— Nic takiego — machnął ręką. — Ministerstwo Rolnictwa ustaliło, że będzie można kupić dziesięć kilo węgla za skórę.

JAN KWASOWSKI

PATYKIEM PISANE

Mój znajomy mawia czasami: „Upiję się”. I trzeba przyznać, że dotrzymuje słowa. Jak on to robi, niech pozostanie jego tajemnicą; ważne, że terminowo i solidnie. Ostatnio jednak powiedział i nie upił się. Skutek: kaca miał już wieczorem, miast nazajutrz rano.

Pewien dyrektor dużej (lub małej — zależnie od punktu odniesienia) firmy zdecydował się zlikwidować alkoholizm w podległym mu zakładzie. Wydał odpowiednie zarządzenie i... pozostał samotny w służbie kielicha. Wierzyć się nie chce, prawda? Rzeczywiście, mogło być także inaczej: dyrektor wydał zarządzenie i... przestał pić.

Decyzje różnią się między sobą szczeblem oraz — bardziej lub mniej uzależnione odeń — zakresem (oddziaływania). W pewnych sytuacjach wygodniej jest podejmować je na własny użytek, tzn. we własnym imieniu i do osobistej realizacji. Mają one tylko tę przykrą stronę, iż błąd popełniony przy ich podejmowaniu obróci się przeciwko nam samym (vide: mój znajomy). Decyzje płynące z wyższych szczebli struktur społecznych są często pod tym względem łagodniejsze dla swych sygnatariuszy (vide: dyrektor, który pozostał samotny). Także źle, gdy decyzja podjęta na szczeblu odpowiednio wysokim zobowiązuje tylko i wyłącznie sam szczebel (vide: dyrektor,



granice decyzji

który przestał pić). Nie zmienia to faktu, że wszystkie przytoczone tu decyzje były błędne. Błędne, gdyż decyzja nie zrealizowana — to decyzja błędna, niezależnie od tego, czy wprowadzona z właściwych przesłanek. Błędem decyzji jest bowiem także nieuwzględnienie sposobów i warunków jej wprowadzenia. A jako błędna — podlega negatywnemu osądowi. Moja była żona, mając odmienne od mojego zdanie, mówiła: „Poradź się wszystkich, a nie będziesz krytykowany”.

Choć od dłuższego już czasu w naszym kraju pośród decydentów modniejsze są windy niż karuzele, to jednak decyzje nie straciły nic ze swych walorów dowartościowujących. Znajomy urzędnik szczebla podstawowego przyznał, że szczególnie ceni sobie sprawy alternatywne. Jasne, sprawy ewidentne sprowadzają go do roli automatu. Konieczność rozstrzygnięcia umacnia zaś w

przekonaniu o przynależności do gatunku sapiens homo. A jakież pole do popisu dla petenta, jakie możliwości rozwinięcia pełnej gamy uczuć! Każdy grymas lub uśmiech może stać się koronnym argumentem. Zadziwiające przy tym, jak wielką szansę kryje możliwość podejmowania decyzji negatywnych. Zachodzi tu zresztą związek pomiędzy kompetencjami wydawania decyzji pozytywnych, a częstotliwością odmownego potraktowania petenta; związek proporcji odwrotnej.

Decyzje rodzą się w określonych warunkach, powodując w przybliżeniu przewidywalne skutki. Młoda mężatka, Maria D., postanowiła polepszyć sobie warunki mieszkaniowe. Ma działkę budowlaną i domek, który chce rozbudować. Biorąc pod uwagę deficyt mieszkań i problemy materiałowe — decyzja zasługuje na uznanie. Pech chciał, że dom, budowany przed laty, usytuowany jest

na działce fatalnie. W związku z tym odpowiedni wydział Urzędu Miejskiego w G., do którego Maria D. zwróciła się z podpisaniem o zezwolenie na rozbudowę, zezwolenie takowe dał, ale zabronił zrobić okno w jednym z planowanych pokoi. W tej sytuacji Maria D. zyskałaby co prawda dwa pokoje, ale również o 100 proc. zwiększyłaby się liczba pokoi ciemnych w jej domu. Złożyła więc odwołanie. Odbyła się wizja lokalna; w jej trakcie Maria D. dowiedziała się, że istnieją powody, dla których trzeba by zamurować okno już istniejące. (Zarazem nikt nie był skłonny zainteresować się szerzącym się wokół sponiewieraniem norm budowlanych, co może być przyczynkiem do charakteru Marii D., ale i mechanizmu powstawania decyzji). Perspektywa: trzy, na ogólną liczbę czterech, pokoje pozostawałyby bez okien. Uwij sobie gniazdko!

Decyzja potrzebuje czasu. Skoro

trzeba było około roku, żeby w głowie kolejnego szaleńca dojrzał zamiar targnięcia się na papieża, więc... po upływie przepisowego miesiąca Maria D. dowiedziała się, że do podjęcia wiążącej decyzji niezbędny jest projekt, który zatwierdzony będzie lub nie, a w każdym przypadku kosztuje.

Sprawa pozostaje tymczasem nie rozstrzygnięta; Maria D. budować się może, a w żadnym przypadku decydent nie będzie mieszkając w kamatach, na skutek jego poczynali powstałych.

Na pocieszenie: decyzje są potrzebne. Moja była żona, zirytowana moją opozycją, mawiała: „Gdy będziesz radził się wszystkich, żadne miejsce nie będzie odpowiednie do pochowania twego ojca”.

STEFAN OSTROWSKI
RYS. ZBIGNIEW ZIOMECKI



cud w Łysych

Tadeusz rzeczywiście wrócił do domu 6 czerwca, ale duch nie przygotował na jego przyjęcie żadnej nauki. Może przesunął ją — razem z „usprawiedliwieniem” — na inny termin, a może już w ogóle z wystąpienia magnetofonowych zrezygnował i wymyślił inną formę kontaktu z chorym chłopcem? W każdym razie jego prorocтва na rychłe wyzdrowienie Tadeusza wydają mi się mało realne. Młodzieniec zachowuje się tak, jakby wrócił z innego świata, w którym przeżył trudne do opowiedzenia chwile, i nie może się odnaleźć w rodzinnej rzeczywistości. Nie ułatwiają mu też adaptacji przywiezione tabletki ani świadomość przyszłych wizyt kontrolnych u lekarza.

**Zostań
z własnym
sumieniem**

**STEFANIA
HENCZELOWA**

ra żonę: — Tak, to nie ten głos, całym nie ten.

— Mogę państwu powiedzieć, jak syn to robił — próbuję jeszcze raz do nich dotrzeć, zwłaszcza że przez cały czas siedząca przede mną dziewczyna z aprobatą kiwa głową i powtarza: — Tak, to on. — Dziwne, że właśnie ona, a nie matka (na przykład) ma opinię chorej, choć przecież nerwica, to dziś rzecz zwyczajna i powszechna.

— Niech nam tu głowy nie zawraca głupotami! — krzyczy piskliwie Szablakowa. — Tego Stasio nie mógł zrobić i nie zrobił! Tak gada, jak milicja!

W dniu 25 czerwca milicja ostrołęcka zarekwirowała w domu Szablaków radio, głośnik radiowy, dwa magnetofony, pięć taśm i dwa małe głośniczki; po jednym z nich została w ścianie kuchni dziura wielkości orzecha włoskiego, którą ktoś niechlujnie (pospiesznie) zagipsował. Ponadto ustalili, że Stanisław wszelkie innowacje elektryczne w gospodarstwie podłączył do sieci pozalicznikowej (czemuś mu Głos tego pajęczarstwa nie wypomnił), podobnie jak i jedno z gniazdek ku-

— początkowo — jej atrakcyjność. Bacznie obserwował zachowania młodych ludzi podczas manipulowania książeczką i kluczem już od grudnia ubiegłego roku, kiedy to odwiedził siostrę w internacie Liceum Rolniczego w Krasnosielisku. Poszerzył swoją wiedzę na ten temat, gdy — wraz z nią — przeszczepił te praktyki na grunt rodzinnej wsi; zestaw „wywoływaczy” zmieniał się za każdym razem, poza tą dwójką. U Szoków wpadł na pomysł z magnetofonem, a kiedy okazał się udany — poszedł na całego. Wydumał trzy duchy i kolejno albo razem „zsyłał” ich głosy na taśmę, po czym jednego z nich — na skutek „zdrady” Baldygów — skazał na pokutę.

Fakt ten zasugerował mi taką oto hipotezę: głosów usłyszyły trzy osoby — Stanisław, Tadeusz i syn sąsiada, którego nazwisko przewijało się od początku historii. Tadeusz, chłopiec o słabych nerwach, przeraził się swego czynu i tej bezgranicznej wiary słuchających, przeżył załamanie i w stanie szoku został odwieziony do szpitala. Wówczas Stanisław był zmuszony z jednego głosu zrezygnować, a jego właściciela wysłać na rzekomą pokutę. Wobec milczenia głównego aranżera, zaciętrzewienia rodziny i stanu zdrowia Tadeusza nie jestem jednak w stanie dowieść słuszności tej hipotezy.

Sam czy z pomocą kolegi — Stanisław brnął dalej. Albo nie umiał w porę zabawy zakończyć, albo nie chciał, ponieważ — poza dużą dozą rozrywki — dawała mu ona inne korzyści. Jakiej natury?

Znający sprawę funkcjonariusze Komendy Wojewódzkiej MO w Ostrołęce orzekli, że głównym motywem czynów Stanisława była chęć zawiadowania ojcowizną, od dawna przeznaczonej Tadeuszowi, przy czym starszy syn wcale nie chciał zostać jej właścicielem i wyrobnikiem. Przeciwnie: zamarzyła się taka sytuacja, w której on — jako traktorzysta — obsługiwałby ją za kierownicą SKR-owskiego ciągnika, natomiast ubezwłasnowolniony brat wykonywałby pozostałe prace w polu i zagrodzie; zysk z gospodarstwa przypadłby jemu, panu Stanisławowi, posiadaczowi bliźniaka w Łysych, nie brudzącemu sobie rąk dłubaniem w ziemi. Wobec chęci Tadeusza i niechęci do całkowitego przejęcia hektarów przez Stanisława — zapalił się do nich szwagier, syn Szoków, lecz stary Szablak nie chciał przekazywać swoich dóbr w „obce” ręce, a Głos zrobił wszystko w swoich wystąpieniach, aby go w tym uporze umocnić, przypominał bowiem wieczną niezgodę pomiędzy Marianem Szokiem a Szablakówną, wynikającą z alkoholizmu i „bezbożności” małżonka.

Duch starał się również odwrócić uwagę Tadeusza od narzeczonej, która — po ślubie — skłonna była osiąść na gospodarstwie męża; wzywał go wówczas, kiedy chłopak wybierał się z wizytą do niej. Dziwnym zbiegiem okoliczności — Stanisław także nie sprzyjał temu związkowi i przetrzymywał listy brata do dziewczyny, które ten mu z całym zaufaniem do wysłania przekazywał jako człowiekowi ruchliwemu, często jeżdżącemu do Łysych.

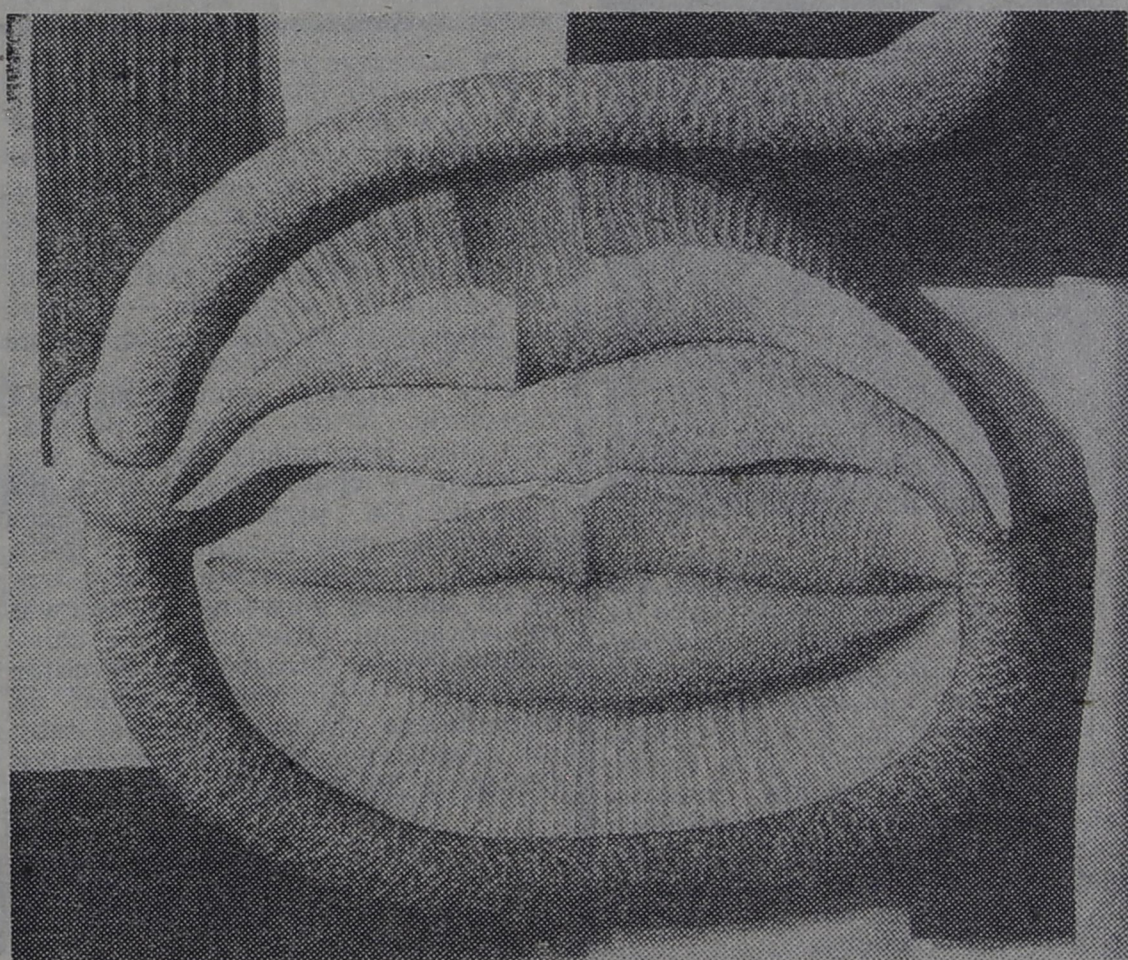
Czy Stanisław swój cel osiągnął? Możliwe. Zależy to od rychłego przejrzenia na oczy jego rodziców, stanu zdrowia brata, a także — od samego duchotwórcy. Powiedział mi, że milicja prosiła go o sygnał w przypadku pojawienia się Głosu na taśmie, ja natomiast wiem, że jeśli swój niewybredny „żart” z duchem powtórzy, wówczas to on dostanie „sygnał”, po którym poniesie odpowiedzialność przed prawem.

Co do Tadeusza... jest zmęczony chorobą i atmosferą rodzinnego domu. Łyka pigułki, lecz nie wierzy w ich moc uzdrowicielską. Powtarza bez przekonania: — Nie uwierzylem. — Ale z nadzieją obiecuje sobie: — Jeśli mi się nie polepszy, pójdę na dwa lata na rentę. Tak, będę sobie żył z renty.

Za parę dni jego matka będzie dowodzić przed sądem braku w swej duszy (ciele?) pierwiastków diabelskich. Czy nadzieja na rentę zagłuszy w młodziutkim Tadeuszu niepokój zapładniany wciąż szaleństwem jego najbliższego otoczenia?

(Ciąg dalszy — po procesie — nastąpi)

Fot. STANISŁAW MOMOT (CAF)



Stanisław bierze kaski i wychodzi z Tadeuszem. Z pokoju wracają rodzice. Siostra znów sadowi się naprzeciwko mnie.

— Pani — mówi matka — da nam posłuchać tego głosu. My słysielim przez drzwi; był taki powolny, dobry...

Włączam taśmę; słuchają w ciszy. Po zakończeniu „nauki” matka wpada w zachwyt: — Tak, to Kardynała słowa i głos jego, taki bardziej ludzki, ziemski. A skąd pani to wzięła?

— Tekst napisałam sama, a odczytał mój mąż. No i widzicie, państwo, jak można...

— Co można? Czego mi tu przynosi jakieś nagranie i mózi, że to duch.

— Wcale nie mówiłam, że duch; chciałam tylko udowodnić, że różne nagrania da się wykonać, i może to zrobić człowiek. Wam ducha ufundował syn...

— Co mi tu głupoty będzie mózi! Zaden syn! Ja słysała głos, wszystkie nauki słysała, i nikt mnie nie pozie, że to ktoś żywy robił! O, jaka mądra! Pani taśma i to całe nagranie o kant dupy może rozbić, bo nie nie wart! My ziemy, kto do nas móził, i nie damy się zawrócić!

Szablakowa aż purpurowieje ze złości. Małżonek także kręci się po kuchni niespokojnie, wreszcie po-

chennych, z którego czerpał magnetofon, a i „cudowna” lampka nocna, gdy w całym domu nie było światła, bo duchotwórca wyjmował korki.

Zgodnie z moim spostrzeżeniem — milicja stwierdziła pomiędzy nagranymi przebojami młodzieżowymi na taśmach spore przerwy, w których mogły się zmieścić kilkunastominutowe „nauki” lub kilkunastominutowe „przeboje”. W przypadkach nagłych, na przykład wtedy, gdy trzeba było szybko zareagować na szukanie wygód przez siostrę w czasie wspólnego odmawiania modlitwy przed ołtarzykiem domowym, „głos wchodził” bezpośrednio na głośnik radiowy przez mikrofon i kabel wyprowadzony na zewnątrz. Stanisław często wychodził przed pojawieniem się Głosu; wówczas to stykał przewody sieci nieoficjalnej i w ten sposób uruchamiał lampkę, magnetofon i dwa głośniczki, rozmieszczone w różnych punktach domu, stąd siła Głosu i jego tajemniczy (bo zniekształcony) dźwięk, uprzednio nagrany — na przykład — w niegłębokiej piwniczce pod korytarzem. Funkcjonariusze znaleźli ponadto całą walizkę baterii magnetofonowych, które miłośnik duchów trzymał na wypadek rzeczywistego braku prądu.

Co mogło być motywem tak niebezpiecznej i długotrwałej „zabawy” 22-letniego Stanisława? Myślę, że

Naprzeciwko mnie przysiadła dziewczyna z połuszczoną skórą twarzy. Widać, że ubiór nie należy u niej do najważniejszych spraw w tym życiu; a może po prostu rodzice skazali ją na poronionym stroje ze starej skrzyni czy szafy? Gdy zobaczyłam ją pierwszy raz w podwórzu, przycupniętą na pieńku i głęboko zamysloną, wydała mi się strudzoną biedaczką, której gospodarze nie wpuścili do chałupy. Teraz zgaduję, że to ta córka Szablaków, która choruje już od ośmiu lat, a ostatnio wróciła ze szpitala w Ostrołęce, gdzie leczyła nerwice.

Dziewczyna nie wie, kim jestem, ale patrzy na mnie z zainteresowaniem i — jakby — nadzieją, kiedy wypytuję Tadeusza o zdrowie, a rodziców o ich stan wiary w ducha. Niestety, pod tym względem nie się u nich nie zmieniło. Głos kochają, noszą w sercach i czekają na kolejne jego wejście.

Stanisław na mój widok kręci się niespokojnie i zaczyna przygotowywać dwa kaski. Proszę, aby został jeszcze chwile. — Po co? — pyta zaczepnie. — Przecież ja już wszystko pani powiedziałam. Milicji też.

— Nie powiedział mi pan tego, że elektryczność i elektronika są pana pasją. Zelektryzował pan całe obejście, założył ekran na antenie, sporządził własnoręcznie elektrycznego pastucha...

— Nic takiego nie zrobiłem! Pani mi tego nie udowodni — oświadcza rzeczowo i znów szykuje się do wyjścia.

Muszę go zatrzymać. Wprawdzie na zupełnie inny moment przewidziałam swój eksperyment, ale bohater zmusza mnie do pośpiechu, bo już dziś może się w domu nie pojawić.

— Mnie też głos wszedł na taśmę — mówię. — A że nauka jest przeznaczona dla pana, dlatego ją tu przyniosłam i proszę o wysłuchanie.

Stanisław rumieni się lekko i mówi niepewnie: — To interesujące. Chętnie wysłucham.

Przez chwilę widzę radość w jego oczach, kiedy mój magnetofon, po wstrząsach w podróży, nie chce ruszyć, ale gdy wkładam taśmę do jego zdezelowanego thompsona — poważnieje.

„Drogie dzieci Boże, a szczególnie ty Stanisławie — rzecze powoli „duch” głębokim barytonem — posłuchaj mnie uważnie. Niebezpiecznie poigrasze sobie ze spokojem duszy rodziców swoich, a co gorsze — ze zdrowiem brata swego, pozwalając się przy tym na autorytet moich słów i mojego głosu. Popętniłeś grzech wielokrotny, bowiem zakłóciłeś mój żywot wieczny, nadużyłeś mego imienia, a przede wszystkim — imienia Pańskiego, i to w celach bezbożnych; ponadto, przez presję psychiczną, zmusiłeś rodzinę do świętokradztwa, które popełniła wiarą w twoje obrazoburcze praktyki. — Tu głębokie „zagrobowe” westchnienie. — Ogromnie zawiniłeś wobec Boga i swoich najbliższych. Spotka cię za to kara gorsza od piekła, a nawet od więzienia: będziesz w swej winie opuszczony przez rodzinę i przyjaciół. Oto zostawiam cię z twoim sumieniem, Stanisławie, na pastwę okrucieństwa tych, wobec których ty sam nie miałeś litości!”

Stanisław przez cały czas ma głowę odwróconą w drugą stronę. Gdy głos z magnetofonu milknie, chłopak, mocno już zaplany, stwierdza nerwowo: — Nie, to nie ten głos. Ten jest normalny, ludzki, a tamten był zagrobowy!

— Przecież już rozmawialiśmy poprzednio o sposobach zniekształcania dźwięku. Ustaliliśmy też możliwość „wchodzenia głosu” bezpośrednio na głośnik magnetofonu, radia lub telewizora.

— Wiem jedno: to nie ja nagrywałem, choć pani może myśleć inaczej. W ogóle nie chcę o tym mówić. Co wiem, wiem dla siebie.

— Ba, gdyby to była tylko pańska sprawa, bez jakichkolwiek konsekwencji. Ale przecież brat choruje przez pana, a cała rodzina musi znosić upokorzenia jako niezdrowa psychicznie albo nawiedzona przez szatana. Nie draży pana sumienie?

— Tak, wiem, że dokuczają rodzinie, bo nawet mama Baldygowa do sądu za nazwanie jehowitką i diabłem podała. Ale po co mnie mieszać do tego? Gdybym to robił, miałbym sumienie, a ja sumienia nie mam. Zresztą: za wszystko będę odpowiadał przed Bogiem, nie przed panią.

obyczaje



do śmiechu i też

denckim czasu pierwszej odnowy, bowiem „Biuro...”, przy wszystkich odmiennościach w stylu muzycznym, sposobie reżyserii i wystroju technicznym, łączy z tamtym gatunek humoru i kierunek satyry. Robi to „zbiorowy konferansjer”: Jerzy Cnota, Irena Kuncewicz i Wiesław Nideraus — w serii skeczów, których motywem przewodnim jest tytułowe biuro pośrednictwa pracy. Kalambury, piętrowe aluzje, dopowiedzenia gestem — chwytane są przez publiczność już po kilku pierwszych kwestiach, bo w warstwie dosłownej kolejne „koncepty reorganizacji biura” zawierają nielichy kawał tzw. prawdy o nas samych. I niby jest to ciągle ten sam katalog wad i śmieszności, ale jakby już trochę inny, bo inny jest układ



Ludzie, którym chce się śmiać w dzisiejszej sytuacji, mogą budzić podejrzenia, że nie rozumieją wiele z tego, co się u nas dzieje. Pechowiec wzbudza śmiech, ale 36 milionów pechowców? A przecież — walnijmy się w piersi — właśnie w kategoriach pecha odbieramy (prawie wszyscy) tę pętlę historii, w której jesteśmy. Całkiem tak, jakby wszystkie koty świata przełaziły przez naszą drogę, a daty w naszym kalendarzu składały się z dwóch cyfr: 1 i 3, co przy najlepszym rozdziale prawdopodobieństwa musi dać trzynastkę raz na cztery daty. Z drugiej strony — jeśli już wdępnęliśmy we własne g... nie ma co udawać, że stoimy wśród fiołków i konwalii albo w kadzidlanych dymach. Warto tylko rozejrzeć się, kto nam pomógł stąpać w to miejsce, popchnął lub przytrzymał za rękaw. Ot i tyle.

A więc zabobon i konkret, jak we wszystkim, co komiczne w naszej ludzkiej kondycji. Tylko że śmieszniejszy jest konkret i dlatego ogromnie ucieszył mnie program kabaretu „Ostatnia zmiana”, który 2 i 3 czerwca grał w Łomży. Firmowany przez olsztyńską Piwnicę Literacką, sławną tym, że przed rokiem przebiła się na warszawską estradę i zamówiła na niej z powodzeniem, przywoził program „Biuro pośrednictwa pracy” ze stołecznymi, w większości, wykonawcami.

„Ostatnia zmiana” posiada wszystko, czym powinien dysponować przyzwoity kabaret. Jest więc gwiazda — Eliza Grochowiecka, w której wykonaniu ballada o walce z wiatrakami staje się wielkim śpiewaniem, a song o biedowaniu, z trochę młodzieńczo lirycznym tekstem, może zostać „piosenką pokolenia”, tak jak przed laty byli nią np. „Okularnicy”.

Nie bez powodu przyszło mi do myśli porównanie z kabaretem stu-

ram, w które został oprawiony ten obrazek. Inni jesteśmy, bo inne są nasze kłopoty i marzenia; inna też jest władza. Dlatego śmiejemy się z czego innego i inaczej. Któż może dzisiaj śmiać się z władzy. Szalenie? Nawiedzony? Nie, każdy. W tej mierze nic się nie zmieniło albo, jak kto woli, normalizacja przychodzi najwcześniej. I nic dziwnego; przecież jest to nasza osobista, może troszkę nie najukochańsza, ale własna władza.

Ewenementem programu jest występ Piotra Kuncewicza. Do niedawna chroniczny udziałowiec rozlicznych programów i magazynów w radiu i telewizji, słuchany i oglądany równie chętnie z anteny, jak i z mównicy najroźniejszych literackich seminariów, sympozjów i konferencji, odważył się stanąć na scenie, „gorzej” — na estradzie, aby powiedzieć swoje dwa felietony: o kolejkach oraz własnych striptizach (oba zamieszczamy obok). Myślę, że jeśli na widowni znajdą się tacy, którzy nie o Piotrze Kuncewiczu nie wiedzą poza tym, iż wyszedł oto właśnie na estradę, to i tak będą oklaskiwali go równie gorąco, jak na przedstawieniu przeze mnie oglądanym, kiedy wśród publiczności dostrzegłem wielu znajomych i znających Piotra.

Nie byłaby „Ostatnia zmiana” kabaretem kompletnym bez Wacława Masłyka; miły głos, dobre piosenki, gitara, świetna prezentacja — oczywiście nie tylko nastolatkom. Program zakończył reżyser, Bohdan Wrocławski, w tonacji serio, w zgodzie z najlepszymi wzorami literackiego, autorskiego kabaretu. Chyba troszkę za bardzo chciał wzruszyć, ale jako twórca sztuki w zasadzie śmiesznej i uciechowej służącej — mógł w naszych czasach ulec złudzeniu, że jedynym ze sposobów ratowania Polski jest kabaret.

HENRYK GALA
Fot. GABOR LÖRINCZY

o kolejkach

W czasach, kiedy się udzielałem w TV, moje najciekawsze pomysły były z reguły przez reaktorów obcinane. Jednym z takich pomysłów był podział ludzi na dwie kategorie: wariatów i idiotów. Jedni i drudzy są niezbędni. Wariaci chcieliby wszystko zmienić, idioci nie chcieliby zmienić niczego. Gdyby na świecie nie było wariatów, mieszkilibyśmy do dzisiaj w jaskiniach, ale gdyby nie było idiotów — świat by się dawno rozleciał. Otóż można łatwo sprawdzić w kolejkach, kto do jakiej kategorii należy: idiota stoi spokojnie, wariat ciągle coś wycina: czyta, robi na drutach, w ostateczności — gada.

Nie wiem, czy jestem idiotą, który udaje wariata, czy wariatem, który udaje idiotę (to zależy od okoliczności); w każdym razie w kolejkach często czytam i wiem, że to drażni innych. Przy okazji zastanowiłem się więc, co właściwie wiemy o kolejkach?

Otóż samo słowo jest młode. W latach okupacji niemieckiej mówiło się „ogonek”, a to już było wyraźnie pogardliwe — ogonek, czyli jakas resztkówka, doczepka, chwost, kutas, szczątek. Podobnie bez szacunku odnoszą się do tego Angliki; mówią „Queue”, co znaczy „warkoczyk”, zaś Francuzi: „faire la queue” — „robić ogonek” czy inny „chwost”. Natomiast Niemcy z większym szacunkiem powiadają: „Schlange stehen” — „stać wężem”. W dawnej Polsce o kolejkach słychać było mało. Zastępowało je słowo „rząd” — na przykład: rząd straganów z mięsem, beczek z winem, podobnie jak zamiast dzisiejszego „kac” mówiło się ładniej — „pochmiel”. Ale słów nie daje się łatwo ożywić. Gdybyśmy teraz powiedzieli, że cały rząd

stoi i na coś czeka albo — nie daj Boże — siedzi...

Nic nie wiemy o kolejkach w starożytności, a i potem — niewiele. Owszem, mówiło się u nas „koleja”, ale to odnosiło się raczej do wojny i polityki. Np. w „Alpuharze” Mickiewicza, po upadku Grenady, Almanzor wraca, aby dżumą zarazić Hiszpanów. I wtedy: *wódz go uściśnął, inni koleją jak towarzysza witali*. Bardzo to na swój sposób prorocze.

W innym trochę sensie spotykamy się z kolejkami w dawnej c.k. Austrii. Wiadomo, że tam w kolejkę ustawiano wojsko — np. do latryny i domu publicznego. Tradycyjnemu też w kolejkę ustawiali się żebracy przy okazji jakiegos wielkownictwa jałmużny. Słowem: to pojęcie nigdy się dobrze nie kojarzyło.

W naszych czasach kolejek jest wiele. Może ludzi jest za dużo, może są źle zorganizowani? Co właściwie mamy poczwać, skoro już stać musimy? Przede wszystkim uświadomić sobie, że nam przecież wszystko lepiej smakuje, kiedy jest trudno osiągalne. Jacyż teraz jesteśmy szczęśliwi z powodu garsteczki kawy czy herbaty! Po wtóre: trzeba stać estetycznie, równo jak girlsy albo groby na cmentarzu. Od razu robi się estetyczniej i przyjemniej. A wreszcie przynajmniej szczerze, że kolejki tak nam już weszły w krew, iż bez nich czulibyśmy się nieswojo. Kiedyś przecież się skończy; wtedy będziemy chodzili i szukali, gdzie by tu postać, a więc będziemy szukali takiego produktu, którego zabrakło. I gdy się okaże, że zabrakło — na przykład — herbaty gruzińskiej i nikt już nie sprzedaje owocowego bełtu, to ustawimy się w długą kolejkę. Żeby wspólnie odetchnąć z ulgą

Pierwszego znanego historycznie striptizu dokonała ateńska hetera Fryne w IV wieku przed Chrystusem, kiedy rozebrała się w czasie procesji ku czci Afrodyty. Chciano ją za to skazać, ale adwokat, zamiast wyłuszczyć dowody, kazał jej się rozebrać przed sądem. Pomogło, a jak wyglądała — wiemy, bo do dzisiaj zachowały się posągi nagiej Wenus Praksytelesa.

Moje striptizy zaczęły się dość niewinnie. Otóż wkrótce po październiku, jako młody magister, wyjechałem w charakterze lektora do Francji. Na wyjeździe dostałem od Ministerstwa Szkolnictwa parę złotych. Kupiłem sobie polskie buty na modnej wówczas podszewie ze skórgumu. Kiedy już się zainstalowałem w Strasburgu, dyrektor Instytutu zaprowadził mnie do wspaniałego gabinetu rektora, żeby mu przedstawić nowego pracownika (Polacy z Polski byli tam wtedy

nie. Dość, że jeden delegat hinduski zmarł na serce, a pięciu innych zostało z zawałami w szpitalu Alma-Aty. Europejczykom, naturalnie, nic takiego nie groziło, lecz praca była gigantyczna.

Pewnego razu paru pisarzy kachaskich odprowadziło mnie z kilkoma butelkami koniaku do hotelu, a miałem jakiś przedziwny pokój, w którym nieustannie kręciły się nietoperze. Postanowiłem wziąć prysznic; łazienka była tuż koło drzwi wyjściowych. Rozebrałem się... nagle dwa nietoperze zakręciły się wokół mnie i otworzyłem niewłaściwe drzwi. Znalazłem się, razem z nietoperzykami, na korytarzu i — skołowany — nie wiedziałem, skąd wyszedłem. Głucha noc, ja nagusienki, nietoperzyki krążą, a jedyną żywą duszą jest stara etażna, drzemiąca w przeciwnym końcu korytarza. Tak zbaramiałem, że zapomniałem języka w gębie —

striptiz

rzadkością). Posadzono mnie jakoś tak na środku, a dookoła zasiadli dostojni profesorowie. Kiedy natężyłem swoją francuszczyznę, żeby jakoś wypaść, poczułem ciepło w nogach, bo tuż przede mną była kratka centralnego ogrzewania (podłogowego systemu). Nagle zorientowałem się, że nikt mnie nie słucha; wszyscy patrzą mi na nogi. Spojrzałem i... słowa uwięzły mi w ustach: skórgum w postaci czarnej kałuży rozpląnął się po posadzce, a z resztek butów sterczały mi stopy w nieprzesadnie całych skarpetach.

Z biegiem lat przykładów wszelkiego striptizu oglądałem sporo; krytykowi literackiemu nie jest o nie trudno. Sam jednak zaświeciłem, i to nie tylko pięta, w całkiem innej stronie świata. Trzeba wiedzieć, że literaci — nie wyłącznie w Polsce — abstynencją nie grzeszą. Rzadko się zdarza, żeby poeta abstynent coś dobrego napisał albo wódz abstynent wygrał jakąś wojnę; na przykład znamy efekt zmagania abstynenta Hitlera i dwóch pijanów — Churchill i Stalina... A więc w naszym środowisku oglądałem sytuację alkoholowych wiele i trzeba przyznać, że ludziom fantazji nie brakowało.

Ja natomiast miałem sytuację następującą. Byłem obserwatorem ze strony ZLP na zjazd pisarzy Azji i Afryki w Alma-Acie. Otóż Rosjanom można wiele odmówić, ale nie braku gościnności; dziennie urządzali średnio trzy bankiety, a w przerwach popijało się indywidual-

i rosyjskiego, i polskiego. Przychodziło mi do głowy tylko trochę łaciny. Poszedłem do tej etażowej, zasłaniając jedną ręką co się dało (byłem wtedy potężnym grubasem), i z rozpaczliwym uśmiechem zabelkotałem: „Ubi est domus meus?” Baba spojrzała, wrzasnęła i uciekała. Ja oprzytomiałem i pędem wróciłem do pokoju. Na moje szczęście — tej samej nocy pobiło się dwu sławnych poetów i jeden drugiego chciał utopić w fontannie hotelowej, więc moja przygoda znalazła się w cieniu tamtej.

Oczywiście, striptiz jest bronią kobiecą. Mężczyzna do walki nakłada broń, panczer, rękawice, a kobieta — wprost przeciwnie. Im mniej ma na sobie, tym jest potężniejsza. W istocie mężczyzna jest istotą głęboko wstydliwą i delikatną, a prawdziwie brutalne i bezwzględne są kobiety. Tak to przynajmniej wygląda w poezji.

W średniowieczu lord angielskiego miasta Coventry obiecał zdjąć z ludności ciężkie daniny, jeśli jakaś dama przejdzie przez całe miasto naga. Zrobiła to jego własna żona, słynna lady Godiwa. Podobno wszyscy mieszkańcy z szacunku zamknęli okna i nikt nie wyjrzał. Nie wiem, jak to było naprawdę, ale myślę, że gdyby dzisiaj naga kobieta przeszła przez całe miasto i nikt, nawet milicjant, by na nią nie spojrział — byłaby chyba śmiertelnie obrażona.



wróżby uniwersalne

Kiedy dziecko chore, wodę z niecki, w której było kąpane, wylać przez szpary tego domu.

*

Gdy dziecko po urodzeniu ujmie się rączką ucha, to będzie bardzo mądre.

*

W wodzie deszczowej nie kąpać dziecka, bo choroby wszelkie będzie w siebie wciągało.

*

W piątek nie kąpać dziecka, bo skłonne będzie do suchot.

*

Po skapaniu dziecka, wody po zachodzie słońca nie wylewać; kolebki, jeśli dla przesuszenia wyniesiona, jak również pieluch po wypraniu zapomnianych, tj. nie przyniesionych przed zachodem słońca, po zachodzie przynosić nie można; powinny zostać na dworze całą noc — boby dziecko płakało.

*

Dziecko zamienione z innym będzie szczęśliwe i w przyszłości może dopomóc rodzicom.

*

Jak przy chrzcie dziecko płacze, będzie zawsze zdrowe.

*

Na dziecko małe nie mówić żaba, bo nie urośnie.

*

Dziecku nie mówiącemu jeszcze nie można włosów podcinać, nie można mierzyć się na nie — niby to do bicia — nie można dawać mu przyglądać się w lustrze, bo od wszystkiego będzie niemową.

*

Jak dziecko dostaje ząbki od góry, to się nie będzie chowało, a jak od dołu, to długo będzie żyło.

*

Gdy dziecku wypadnie ząb, trzeba żeby wrzuciło go do mysiej jamy, wymawiając te słowa: „Myszko, myszko, weź mój ząb kościany, a daj mi żelazny” — to go nigdy zęby boleć nie będą.

Żółte i pomarańczowe kwiaty nagietka, hodowanego dla ozdoby w naszych ogródkach przydomowych, są uznanym w ludowej medycynie ziołowym lekiem. Nagietek jest jednym ze składników mieszanki ziołowej „Vagosan”, używanej do irygacji przeciw upławom, nadżerkom. Przede wszystkim łagodzi dolegliwości przy nieregularnych i bolesnych menstruacjach. Herbata z nagietka pomaga również przy schorzeniach żołądka i jelit, biegunkach, zapaleniach jelita grubego, puchlinie wodnej i krwimomoczu. Świeży sok z kwiatów usuwa brodawki, a okłady z wywaru niszcza liszaje, rozmiękcza stwardniałe gruczoły. Bardzo niewielkie dawki esencji, sporządzonej ze świeżych roślin, stosuje się do leczenia ran, zapaleń, raka skóry, wrzodów jelit, zapaleń odbytnicy, wyrzutów i wysypek. Kwiaty przeznaczone do celów leczniczych zbiera się tylko przy słonecznej pogodzie i tylko wówczas, gdy utrzymywała się ona przez kilka dni, podsusza w miejscu zaciemnionym i przewiewnym, a następnie wyskubuje brzegowe części, które trzeba szybko dosuszyć, nie używając przy tym ciepła sztucznego. Herbatkę ziołową przygotowuje się w ten sposób: 2 łyżeczki suszonego lub świeżego kwiatu zaparzyć filiżanką wody i zostawić pod przykryciem 5—10 minut. Odciedzony płyn pije się niesłodzony w ilości 3—4 filiżanek dziennie, co godzinę po łyżce.

nagietek leczy

czą liszaje, rozmiękcza stwardniałe gruczoły. Bardzo niewielkie dawki esencji, sporządzonej ze świeżych roślin, stosuje się do leczenia ran, zapaleń, raka skóry, wrzodów jelit, zapaleń odbytnicy, wyrzutów i wysypek. Kwiaty przeznaczone do celów leczniczych zbiera się tylko przy słonecznej pogodzie i tylko wówczas, gdy utrzymywała się ona przez kilka dni, podsusza w miejscu zaciemnionym i przewiewnym, a następnie wyskubuje brzegowe części, które trzeba szybko dosuszyć, nie używając przy tym ciepła sztucznego. Herbatkę ziołową przygotowuje się w ten sposób: 2 łyżeczki suszonego lub świeżego kwiatu zaparzyć filiżanką wody i zostawić pod przykryciem 5—10 minut. Odciedzony płyn pije się niesłodzony w ilości 3—4 filiżanek dziennie, co godzinę po łyżce.

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

mozaiki w latrynach

Kiedy (powołana w roku 1842 w Wielkiej Brytanii) komisja królewska rozważała sposoby poprawienia stanu sanitarnego Londynu, sięgnęła do opisów urządzeń sanitarnych Koloseum i amfiteatru rzymskiego w Weronie. Przewyższały one bowiem wszystko, czym mogło się pochwalić w tej dziedzinie brytyjskie państwo. Chociaż Rzym wyróżniał się spośród miast starożytnych, nie był on pierwszym skanalizowanym miastem; było nim m.in. Kalach (dzisiejsze Nimrud) w Iraku. Ścieki burzowe, chroniące ulice przed zalaniem, przetrwały do dziś — razem z ruinami Kameiros — na wyspie Rodos.

W ustępie królewskim pałacu Sargona II, króla Asyrii, od ok. 721 r. p.n.e. — obok każdego sedesu —

znajdował się dzban z wodą i glińiany czerpak, służący do splukiwania. Latryna w Knossos umieszczona została ponad kanałem, którym nieprzerwanie płynęła woda. Ścieki klozetowe prowadzono zazwyczaj osobno od innych kanałów, aby cuchnące gazy nie wydobywały się przez otwory wlotowe całego systemu kanalizacyjnego. W okresie pryncypatu (od rządów Oktawiana Augusta do Dioklecjana) istniała już pewna liczba ustępów publicznych, połączonych z systemem kanalizacyjnym. Do ich splukiwania służyła zużyta woda z łaźni i zakładów przemysłowych.

Ustępy publiczne ozdabiano tak bogato kosztownymi mozaikami i marmurami, że kiedy sto lat temu w Puteoli archeologowie odkopali jeden z nich, wzięli go początkowo za świątynię. Prawie wszystkie insule posiadały własne latryny. Niektóre z domostw miały skanalizowane i wyższe piętra. Ale wielu Rzymian, którym do ubikacji było za daleko, wynosiło nieczystości do dołów kloacznych albo, jeśli nie zabraniało tego prawo, wylewało po prostu na ulice.



Jedno z naczyń nocnych z tańcuckiej kolekcji.

Fot. Andrzej Łokaj (CAF)

Pół kilograma ziemniaków ugotować w osolonej wodzie. Gorące ugnieść na jednolitą masę, wysuszyć na małym ogniu, dodać 6 dkg masła. Po zdjęciu z ognia lekko przestudzić, wymieszać dokładnie z 3 żółtkami, podzielić na 6 części. Formować knedle wielkości mandarynki: przygotować tartą bułkę i panierować jak kotlety. Na wierzchu zrobić okrągłe nacięcie, tworzące „pokrywkę”. Smażyć w gorącym oleju lub smalcu. Wymować łyżką cedzakową i układać na bibule, która wchłonie nadmiar tłuszczu. Przygotować nadzienie ze szpinaku. Szpinak — po usunięciu korzonków liściowych — starannie wypłukać w kilku wodach, wrzucić na wrzącą osoloną wodę i gotować kilka minut w odkrytym naczyniu. Odcedzić, posiekać. Z masła i maki przygotować jasną zasmażkę, połączyć z nią szpinak, dodać rozarty ząbek czosnku, wlać pół szklanki mleka i zagoto-

TANIE DANIE

paszteciki z purée ziemniaczanego

wać, ciągle mieszając. Usmażone paszteciki ostrożnie wydrążyć łyżeczką, zdjawszy przedtem „pokrywkę” (grubość ścianek musi gwarantować zachowanie kształtu), napełnić ciepłym szpinakiem, przykryć pokrywką, ułożyć na żaroodpornym półmisku i zapiec w piekarniku. Można też przygotować nadzienie z jajecznicą na wędzzonej ze zrumienioną, drobno posiekaną, cebulą.

przeznaczone dla żony i osób, u których mieszka. Często dary te są odrzucane i posłowie swoją misję powtarzają kilka razy. Jeżeli żona dary przyjmie, to znaczy, że wraca do męża — postępowanie rozwodowe jest zakończone. Jeżeli natomiast postanowi nie wracać, darów nie przyjmie i małżeństwo ulega rozpadowi. Wówczas mąż zaczyna szukać nowej kobiety, a jego była żona (gdy jest jeszcze w miarę młoda) prowadzi nieskrepowany żywot nakubukwabuya, czyli niezamężnej dziewczyny. W tym czasie wolno jej nawiązywać jedną *liaison* (miłość) po drugiej i mieszkać w domu kawalerów. Jeden z tych luźnych związków może się przerodzić w ponowne małżeństwo. W tym przypadku, nowy małżonek obowiązany jest ofiarować swemu poprzednikowi prezent z kosztowności, który stanowi rekompensatę za stratę żony.

U Trobriandczyków małżeństwo zakończone rozwodem nie pozostawia żadnego piętna społecznego ani na kobiecie, ani na mężczyźnie. Dzieci zostają przy matce, a gdy prowadzi ona życie niezamężnej dziewczyny — przebywają w domu najbliższej zamężnej krewnej w linii matki.

(Bronisław Malinowski: „Dziela”)

rozwód

U Trobriandczyków (mieszkańców Melanezji, wysp Oceanu Spokojnego) *vaypaka* — czyli rozwód — jest zjawiskiem dość częstym. Jeśli tylko pomiędzy mężem a żoną dochodzi do gwałtowniejszych scysji i nieporozumień, albo jeśli ustawiczne kłótnie i zazdrość doprowadzają ich do zbyt gwałtownego gniewu, małżeństwo ulega rozwiązaniu. Chociaż za zdradę małżeńską mąż ma prawo nawet zabić swoją żonę, jednak najczęstszą karą za to przewinienie jest porządna porcja kijów i gorzkie wymówki.

Najczęściej osoba starająca się o rozwód jest żona. Proces rozwodowy — nie tak formalistyczny jak u nas — zaczyna się opuszczeniem przez żonę domu męża. Zabiera ona cały swój dobytek i przenosi się do chaty matki lub jej najbliższej krewnej. Zamieszkując tam, korzysta z pełnej swobody seksualnej. Mąż w tym czasie stara się ściągnąć ją z powrotem. W tym celu wysyła przyjaciół z darami pojednania, które są

krzyżówka

1	2	3	4		5	6	7	8
9				10				
11								
12				13				
			14					
	15		16			17		18
19	20				21		22	
23								
24					25			
26					27			

POZIOMO: 1) do zębów, obuwia, podłogi; 5) materiał opałowy; 9) olejek różany; 10) miara drogocennych kamieni; 11) płaz ogoniasty o barwie czarnej w żółtopomarańczowe plamy; 12) w dal, wzwyż, o tycze; 13) poziomy ruch powietrza; 14) kościszowska rzeka; 16) kaskiowy owad; 19) w dawnym wojsku polskim pacholek obowozowy; 21) krawędź, brzeg; 23) część statku; 24) zespół dawniej towarzyszący M. Grechucie; 25) imię autora powieści „Pamiętnik z Celulozy”; 26) częsty efekt pojedynku; 27) zatoka Morza Czerwonego.

PIKOWO: 1) pomyślny lub niepomyślny okres życia, działalności; 2) formacja drzewna; 3) obszerny pokój do przyjmowania gości, bawialnia; 4) piła tartaczna; 5) grzyb lub ptak; 6) obóz, koczowisko Tatarów; 7) część talii; 8) znany polski samochód ciężarowy; 10) dość często gnieździ się w kominach; 14) załoga łodzi wioślarskiej; 15) powstaje w czasie prania; 16) kraina geograficzna w Czechosłowacji; 17) szarża, stopień wojskowy; 18) ozdoba talasu; 19) powab, krasa; 20) żołnierz kawalerii lekkiej; 21) głos trzody chlewnej; 22) pierwiastek chemiczny o liczbie atomowej 41.

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania pod adresem redakcji w terminie 10-dniowym, rozlosujemy nagrody książkowe. Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie krzyżówek, zamieszczonych w majowych numerach „Kontaktów”, wylosowali: ARTUR DOBRZYCKI ze Szczecyna, DANUTA SIKORSKA z Winy, PIOTR CIECZOT z Białogostku, ZYGMUNT GUTOWSKI z Utky, STANISŁAW KOSAKOWSKI z Bałoszyca, BOŻENA WASIK z Głuchowa, STANISŁAW SWIĄDER z Kętrzyna, ALEKSANDER ALEKSIEJEW z Głuchowa, HENRYK IZBIŃSKI z Zambrowa, ANTONI SŁABY z Zambrowa, J. CHROSTOWSKA z Łomży, WOJCIECH SMARZ z Giżycka, LESZEK WRZESIŃSKI z Pisz.

13

KONTAKTY
27 VI 1982

Stragan pod trzynastką



WYKWITY

Było ciepło i słonecznie promienie grzały jak nigdy. Nikt by nie przypuszczał, że w takim skupieniu mogło być coś wydarzyć. A jednak te dni miały w sobie coś pięknego. W tym pięknym słowie było słowo „Miłość”. Rano chciałam się upokorzyć ze wszystkimi sprawami. Na godzinę 16.00 umówiłam się z moim chłopcem Andrzejem chodząc już z nim około 2 miesiące. Kochaliśmy się i nie morzymy być bez siebie. Bo łączyło nas to najpiękniejsze słowo miłość. Uderzyła 16.00 poszłam na spotkanie z Andrzejem. Andrzej czekał już z góry długo. Przywitaliśmy się serdecznym pocałunkiem. Andrzej zaproponował mi spacer po parku zgodziłam się i długo spacerowaliśmy, że nie zauważyliśmy. Ula kocham cię ja też odpowiedziałam nieśmiało Ula kocham cię. Bardzo niepokoił się i przytulił mnie do siebie. Ale mnie coś niepokoiło. On powiedział kocham cię kocham moja najdroższa. Jesteś moja. Były to piękne i częste spodkania.

Lecz nagle między nami coś zaczęło się psuć. Andrzej mnie oszukiwał już wiedziałam że ma inną dziewczynę i robi ze mnie idiotkę. Dla mnie był taki jakiego chciałam. Kochany chłopiec jakby trochę dziecinny.

Któregoś dnia spodkaliśmy się przypadkiem na ulicy. „Cześć” powiedział patrząc jakby trochę w niebo odpowiedziałam mu. Ale słowa moje były trochę drżące. Zrozumiałam wszystko. Bał się mnie jakbym zrobiła mu coś złego. Ja powiedziałam nie Andrzej nie jesteś taki jak muwiłeś. A o co ci chodzi zapytał spokojnie, patrząc prosto w oczy. Ja powiedziałam Andrzej nie chcesz tego szczęścia. Morze później przyjdiesz do mnie, ale będzie już za późno. Nie potrafił docenić przyjaciela, bo wierzył w samego siebie. Spuźrz na mnie. Chciał mi coś powiedzieć. Z moich pięknych oczu płynęły łzy. Nie powiedział już nie, to moja słabość. Spuścił głowę w dół i myślał. Za jakiś czas powiedział przepraszam cię Ula ale nie mogłem inaczej. Zyczył mi szczęścia, naprawdę szczęścia, a życie mi się samo ułoży. J tak rzeźmy się rozstali, ja z bólu a on z radości.

Był chłopcem pokochanym i muwił to co mu przyszło do głowy. Nie kochał mnie, oszukiwał a ja go ko-

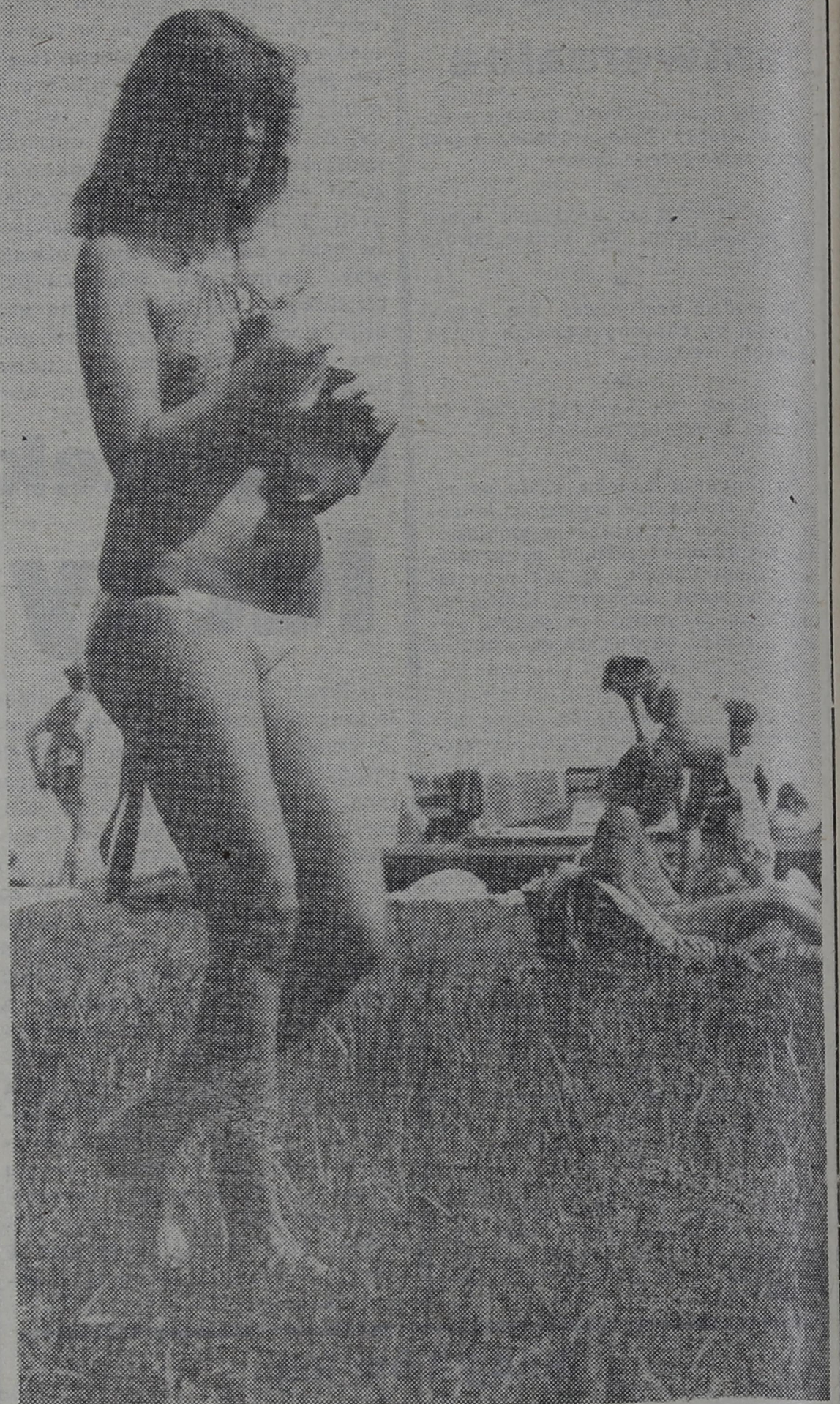
z moich
pięknych oczu
płynęły łzy

chałam i ufałam mu byłam dobrą dziewczyną. Pomagałam wszystkim jak mogłam. Byłam zrozumiała i potrafiłam zrozumieć wszystko. Pamiętałam mnie z dawnych dni byłam szczęśliwa i cieszyłam się z życia. Nazywali mnie dziewczyną radości. A teraz byłam dziewczyną smutku. Nie mogli mi pomóc. Ula co ci się stało pytały kturegoś dnia „nie” odpowiedziałam i tak nie będziecie w stanie mi pomóc. Jestem w krainie smutku. J tam pozostanę i nigdy już nie będę szczęśliwa i wesola. Po raz pierwszy zobaczyły łzy.

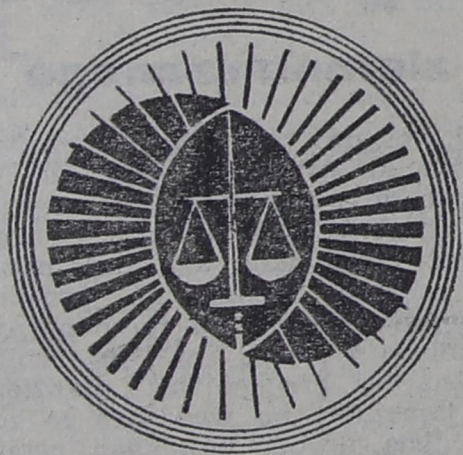
Wruciliśmy z dyskoteki. Byłam jakoś wesola żdziwiło to ich ale ja chciałam tylko ukryć ból. Nie mogłam już dalej. Moich rodziców nie było w domu. Poszliśmy z Anią polorzyłam się na tapczanie i zaczęłam jęczeć pierwsze słowo to Andrzej. Podniosłam się i polorzyłam spowrotem prosiłam aby ze mną zostać długo opowiadałam o Andrzej. Kocham go krzyczałam. Nie mogłam muwić muwiłam tylko urywkami. Plakałam nie wiedząc czy z tego że musi odejść zostawić mnie i żyć samotnie, ale raczej z tego powodu. Powiedziałam i do mojej koleżanki Ani żeby go pozdrowiła i powiedziała mu że życie jest piękne że nikt go nie morze przesłonić, nawet moje łzy. J z moich oczu płynęły fale łez, zrobiło się ciicho. Wiedziłam jak znowu straciłam przytomność. Jednak powiedziałam kilka zdań.

Do pokoju weszli cniopcy oczy miałam zamknięte. Moja twarz rysowała piękne długie rzęsy czerwone usta i na ramionach spuszczały się długie włosy. Zaczęłam płakać, nie mogłam uwierzyć że ta chwila już nadeszła że odejdzie raz na zawsze. Otworzyłam swe niebieskie oczy. Usta moje zaczęły drżeć. Miałam 16 lat i z wielkim trudem jest mi odchodzić. Dlaczego muszę iść tak daleko, dlaczego muszę cierpieć, po co to wszystko, czy musi tak być. Uspokajałam się nagle. Ale łzy nadal spływały dużymi kroplami. Tak muszę się z tym pogodzić. Choć mi jest trudno. Pokonałam tyle przeszkud. Ale teraz nadeszła największa odchodzę od ciebie na zawsze nie zobaczymy się już nigdy.

URSZULA z Tarnobrzkiego
Fot. GABOR LÖRINCZY



PORADNIK PETENTA

kto może
kupić ziemię

Obywatel zamierzający nabyć własność nieruchomości rolnej lub jej części musi spełniać jeden z warunków: stałe pracować w jakimkolwiek gospodarstwie rolnym bezpośrednio przy produkcji rolnej albo wykazać się kwalifikacjami uprawniającymi do jego prowadzenia.

Zgodnie z (pozostającym częściowo w mocy) rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 28 listopada 1964 r. w sprawie przenoszenia własności ziemi, znoszenia współwłasności oraz dziedziczenia gospodarstw rolnych — podstawą stwierdzenia posiadanych kwalifikacji jest świadectwo ukończenia szkoły rolniczej czy przysposobienia rolniczego lub świadectwo (albo dyplom) uznania tytułu kwalifikacyjnego w zawodach rolniczych.

Istotnych zmian dokonano w zakresie regulacji ograniczeń odnoszących się do właściwości nabywanej lub zbywanej nieruchomości rolnej, wyrażających się m.in. w tym, że ustawodawca wymaga zachowania określonych norm obszarowych. Powierzchnia nabytej

przez obywatela ziemi wraz z jego własną lub współwłasną nie może przekraczać norm obszarowych, które — wg przepisów o przeprowadzeniu reformy rolnej — stanowią górną granicę obszaru nieruchomości nie podlegającej przejęciu przez Państwo na cele reformy rolnej. Przypomnieć trzeba, że dekret PKWN z dnia 6 września 1944 r. o przeprowadzaniu reformy rolnej granicę tę ustalił na 100 hektarów powierzchni ogólnej bądź 50 hektarów użytków rolnych.

Złagodzeniu uległy konsekwencje przekroczenia tych wielkości. Nadwyżka może być przejęta na własność Państwa, chyba że przekroczenie obszaru jest nieznaczne, a przejęcie nadwyżki nie byłoby celowe. Kompetencje do podejmowania tego typu decyzji przekazano sądom, które będą orzekały w postępowaniu nieprocesowym na wniosek Skarbu Państwa.

W przypadku podziału gospodarstwa rolnego przeniesienie własności może nastąpić tylko wtedy, gdy nabywania ziemi lub jej części wraz z nieruchomością stanowiącymi już własność (współwłasność) nabywcy utworzy gospodarstwo z dolne do produkcji towarowej. Warunkiem uznania gospodarstwa za potencjalnie produkcyjne (wg przytaczanego już rozporządzenia Rady Ministrów) jest jego ocena co do możliwości uzyskiwania produktów przeznaczonych do zbycia, przy uwzględnieniu: kwalifikacji nabywcy, jego warunków rodzinnych, obszaru i położenia nabywanej nieruchomości oraz zamierzonego rodzaju produkcji.

Mniejsze zmiany objęły zasady znoszenia współwłasności ziemi: każdy ze współwłaścicieli może żądać zniesienia współwłasności, a rozstrzygnięcie takie nie ulega przedawnieniu. Jeżeli zniesienie współwłasności przez podział nie jest możliwe, ziemia może być przekazana tylko temu ze współwłaścicieli, który od-

powiada warunkom wymagany do nabycia własności w drodze jej przeniesienia. Jeśli warunki te spełnia kilku współwłaścicieli, nieruchomości będzie przyznana temu, na którego wyrazi zgodę każdy z nich. Przy braku zgody sąd przyzna nieruchomości temu, który stale pracuje w gospodarstwie obejmującym tę ziemię, chyba że interes społeczno-gospodarczy przemawia za wyborem innego właściciela. W przypadku gdy współwłaścicieli stale pracujących jest kilku, sąd przyzna nieruchomości temu, który daje najlepszą gwarancję należytego prowadzenia gospodarstwa.

Współwłaścicielom, którzy przy zniesieniu współwłasności nie otrzymują swej części w naturze, przysługują spłaty wartości tych części (oszacowanie nieruchomości rolnej w celu ustalenia wartości udziałów współwłaścicieli przeprowadza się wg przepisów dotyczących sprzedaży państwowych nieruchomości rolnych), jeżeli: 1) odpowiadają warunkom wymagany do nabycia własności ziemi w drodze przeniesienia własności, 2) są małoletni, uczą się zawodu lub uczęszczają do szkół, 3) są trwale niezdolni do pracy.

Uczenie się lub uczęszczanie do szkół nie uprawnia do otrzymania spłat wówczas, gdy współwłaściciele osiągnęli pełnoletność i pobierają nauki w szkołach dla pracujących lub odbywają studia dla pracujących. Za trwale niezdolne do pracy uważa się osoby, które osiągnęły określony wiek (kobiety — 60 lat, mężczyźni — 65 lat) i nie wykonują stałej pracy, stanowiącej ich główne źródło utrzymania, lub zostały zaliczone do I lub II grupy inwalidów w trybie i na zasadach określonych w przepisach o powszechnym zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin.

Ograniczeń obowiązku spłat nie stosuje się w razie zniesienia współwłasności, która — wg przepisów

kodeksu rodzinnego i opiekuńczego — należy do wspólnego majątku małżonków. Małżonkowi nie otrzymującemu swego udziału w naturze spłaty przysługują zawsze.

Dodatkowy warunek uzyskania spłat związany jest z pracą w gospodarstwie rolnym. Mianowicie: wypłata spłat współwłaścicielom mającym kwalifikacje do prowadzenia gospodarstwa rolnego ulega zawieszeniu do czasu podjęcia stałej pracy bezpośrednio przy produkcji rolnej. Jeżeli podjęcie takiej pracy nie nastąpi w ciągu roku, prawo do spłat wygasa. Natomiast osoby, które były spłacane ze względu na pracę w gospodarstwie rolnym, a które pracy w nim zaprzestały, traca prawo do spłat jeszcze nie uiszczonych, chyba że stali się trwale niezdolni do pracy.

Spłaty przysługują w pełnej wysokości udziałów; mogą być jednak obniżone. Przy określaniu stopnia ich obniżenia bierze się pod uwagę typ, wielkość i stan gospodarstwa rolnego, będącego przedmiotem zniesienia współwłasności, oraz sytuację osobistą i majątkową współwłaścicieli zobowiązujących do spłat i współwłaścicieli uprawnionych do ich utrzymania.

ZBIGNIEW SZPALIŃSKI

Które z labiryntów biurowych są najbardziej kręte; jakie tajniki prawnicze wymagają wyjaśnienia — oczekujemy na sygnały i wskazówki od Czytelników. Uwzględnimy je w naszym „Poradniku petenta”, w którym — przypominać — funkcji głównego przewodnika podjął się Wojewódzki Ośrodek Społeczno-Prawny ZSMP, wspomagany przez prawników, socjologów, psychologów i innych specjalistów.



24.VI TV 1.VII

PROGRAM II. 10.25. W strym kinie
„Żona i nie żona” (wersja dla niesłyszą-
cych). 11.35. Morskie piosenki — rumu-
ński film muzyczny. 13.00. Militaria, obro-
ność, nowoczesność — Rozwój okrętów
Polskiej Marynarki Wojennej od Wład-
ysława IV do chwili obecnej. 13.30. Progra-
m lokalny. 14.00—23.10 **STUDIO 2, 14.10. C**

Diennik TV, 20.15. Sonda, 20.45. Pliki-
skie Mistrzostwa Świata, 23.00. Dziennik
PROGRAM II 16.50. Program dnia, 16.55.
Śledzi - radziecka komedia filmowa
18.15. Wszystko o reformie, 18.30. Na pa-
ligonowych drogach - reportaż wojsko-
wy, 19.00. Program lokalny, 19.30. Dziennik
TV, 20.15. "Agent RQ-35" - rumuński
film sensacyjny, 22.05. Pegaz.

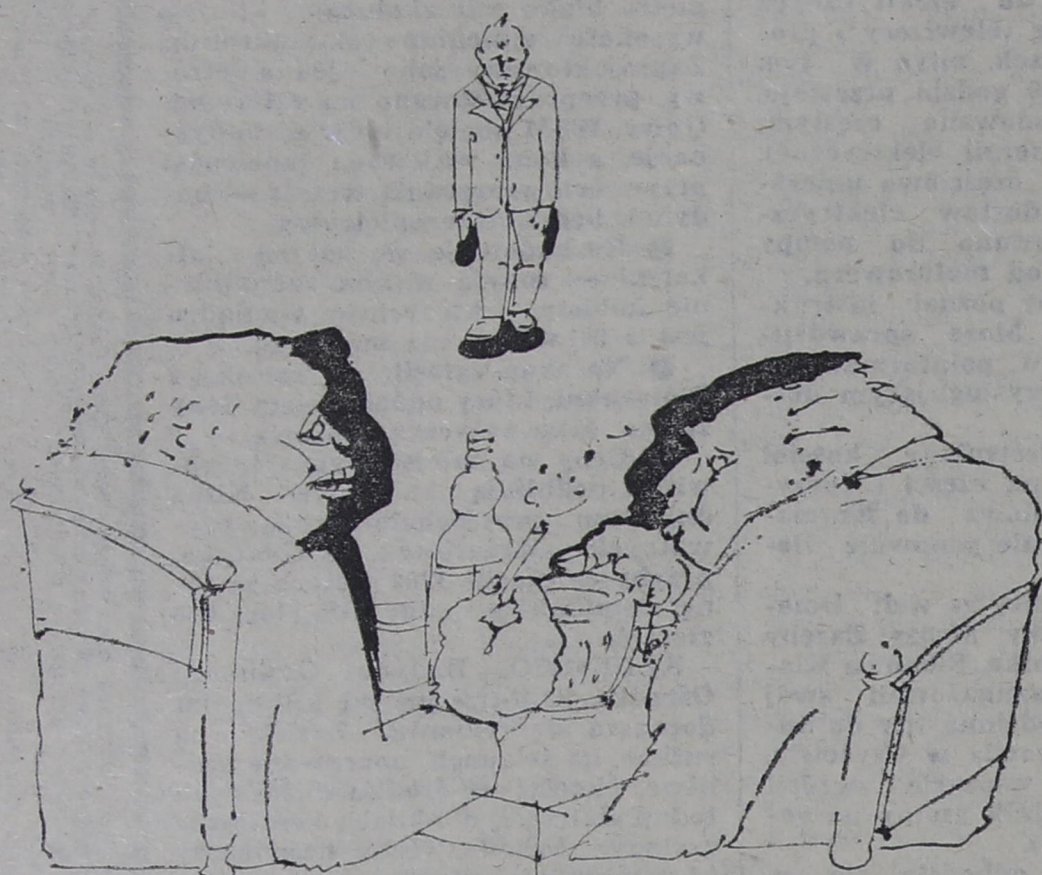
Gminny Ośrodek Kultury w Gradowie: blok rozgrywek sportowych
27 VI, godz. 10.00.

stawa wzbogacona o pokaz ma-
iałów dotyczących tradycji harc-
twa łomżyńskiego.

Zmiany w tygodniku społeczny pismo ZPZR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski - redaktor naczelny Stefania Henczeliwa - zastępca redaktora naczelnego Nina Omelorenko - sekretarz redakcji. Henryk Gała, Wiesław Kolowski, Adam Jerzy Socha, Władysław Tokci, Andrzej Bartosz, Alicja Basia, Bronisław Giebelowski, Jacek Grub, Wiesław Kędzielski Redaktor techniczny i korekta Elżbieta Dupsta **STALE WSPOŁPRACUJĄ:** Andrzej Bielecki, Bronisław Giebelowski, Wiesław Janicki, Andrzej Kozłarski, Piotr Kuncewicz, Jan Kwasiński, Jan Łukaszuk, Tomasz Piotrowski, Tadeusz Szablinski, Wiktor Sukiel, Andrzej Tchotkowski, Wojciech Włodak **KONCEPCJA GRAFICZNA** - Marek Goebel **ADRES REDAKCJI** ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża Telefon 42 43 44 (centrala), 40-922 (redaktor naczelny) 50-77 (z-ca redaktora naczelnego, Wojciech Włodak) Telex - 85-22-85 **WYDAWCA** RSW „Prasa-Książka-Ruch” **CENA** 65 zł **WYDAWCA** RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju 36328 Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. ul. Świerczewskiego 7 tel. 42-43, 42-44 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń odpowiada ich autor.

156 zł półrocznie 213 zł rocznik — 624 zł

KONTAKTY



ZOBACZ! NEANDERTAŁCZYK

ciało bez gabarytów

Wywiad z prof. dr. hab. TYMIANEM KUSYM, jedynym w Polsce specjalistą diabolologii. W imieniu i za zgodą „Kontaktów” – rozmowę przeprowadził Wiesław Janicki.

W.J.: — Panie profesorze, pozwól pan, że zadam na wstępie pytanie zasadnicze. Przecież diabłów nie ma, więc o czym mamy rozmawiać?

T.K.: — Odpowiadam panu fragmentem piosenki Agnieszki Osieckiej: „Życie jest formą istnienia białka, ale w kominie czasem coś zalka...”

W.J.: — „Czasem coś gwizdnie, czasera coś świsnie, coś się ukaże w samej bielnie?”

T.K.: — Otóż to, właśnie.

W.J.: — Rozumiem. Zaczniemy więc od bielizny. Jest pan profesorem, a zatem naukowcem. Naukowcy do każdej sprawy podchodzą w sposób czysto racjonalny. Mierzą, ważą, podliczają i dopiero potem wyciągają odpowiednie wnioski, na podstawie których formułują teorie. Proszę mi zatem powiedzieć, ile waży taki przeciętny, średniej wielkości, diabełek?

T.K.: — Popelnia pan zasadniczy błąd w rozumowaniu. Diabły są istotami z innych wymiarów czasoprzestrzennych. W ich przypadku pojęcie ciężaru, czyli, ściślej mówiąc, siły, z jaką ziemia przyciąga dane ciało, nie w ogóle nie znaczy. Nie mają też rozmiarów ani żadnych innych gabarytów, przynajmniej w tym sensie, w jakim my to rozumiemy. Wymierna jest tylko ich działalność, z którą możemy się spotkać na każdym niemal kroku.

W.J.: — Jest pan metafizykiem?

T.K.: — Skądże znowu! Jestem racjonalistą o poglądach materialistycznych.

W.J.: — Przyznaję, że nie rozumiem. Mam też pewne wątpliwości, czy nasi Czytelnicy to pojmą.

T.K.: — I nic dziwnego. Dopóki nie zostałem profesorem, sam nie mogłem tego zrozumieć. Ale, ale, „Kontakty” wychodzą w Łowiczu?

W.J.: — Ciepło, ciepło, choć nie za gorąco. W Łomży, panie profesorze.

T.K.: — Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Proszę sobie wyobrazić, że stopień doktora nauk zdobyłem na podstawie pewnych odkryć, jakie udało mi się dokonać w jednej ze wsi podłomżyńskich. Pracę napisałem po łacinie, została wydana przez PZW, nosi tytuł „Paranojskie diablo Drozdowiensis”. Jest ona swego rodzaju białym krukiem, zwłaszcza że cały nakład, w liczbie szesnastu egzemplarzy, znajduje się w mojej prywatnej bibliotece.

W.J.: — Kto był promotorem tego doktoratu?

T.K.: — Już nie pamiętam, ale chyba Urząd Wojewódzki.

W.J.: — A z czego, czy też na czym pan się habilitował?

T.K.: — To nieważne; grunt że nie było to takie łatwe. Najpierw musiałem się zrehabilitować, a dopiero potem nastąpiła pełna habilitacja. Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy pan wie, że odkryłem kiedyś fizyczną obecność paru diabłów rdzennie naszych, polskich.

W.J.: — Czy chodzi o Nazwiska, Kryzyska i Smedziolka?

T.K.: — To ich późniejsza progenitura; mam na myśli ojcoszków tychże, Biebrzańskiego, Bużańskiego, Narwiańskiego i Dojlickiego. Kochane diabełki, choć paskudne zarazeni.

W.J.: — Widzę jakąś dwoistość w pańskiej wypowiedzi. Kochane czy paskudne?

T.K.: — Wie pan, ja zawsze postępuję elastycznie, czyli dialektycznie i rozwojowo. Nigdy nie mam jednego tylko zdania. Naukowiec nie może się mylić, więc na wszelki wypadek sam sobie zaprzeczam. W ten sposób zawsze jestem w porządku wobec faktów, które przecież istnieją niezależnie od naszej woli.

W.J.: — I znowu nic z tego nie rozumiem, ale mniejsza z tym. Nad czym pan teraz pracuje?

T.K.: — Aktualnie wróciłem z urlopu bezokolicznościowego. Byłem trochę za granicą, choć właściwie nie ruszałem się z domu. Kończę teraz dzieło mojego życia „Wielki słownik powiedzonek diabelskich”, wraz z krótkimi komentarzami. Mam już około trzydziestu hasel! Byłbym wdzięczny, gdyby zachciał pan to wydrukować w „Kontaktach”. Wiele dobrego słyszałem o tym piśmie, choć nigdy go nie trzymałem w ręku. Podobno macie nawet ambicje czy coś takiego.

W.J.: — Dziękuję w imieniu redakcji. Druku nie mogę jednak panu obiecać, przecież nie ode mnie to zależy. Pismo ma swojego szefa, ten — z kolei — swoich szefów i tak dalej, aż do końca. Na wszelki wypadek spróbuję jednak zaproponować panu jakąś dorywczą współpracę. Grosz to raczej marny, coś w rodzaju rekompensaty za wątpliwe trudy.

T.K.: — O pieniądze nie dbam, współpracować nie będę, ale pisać mogę, bo każdy grosz jest teraz ważny. Zaraz dam panu trzeci egzemplarz mojego dzieła i ze dwa albo trzy komentarze. Jeśli wyjdę na swoje lub przynajmniej na cudze, podrzucę następne. Tylko skąd będę wiedział, czy teksty zostały przyjęte do druku?

W.J.: — Musi pan sobie w kiosku kupić egzemplarz „Kontaktów”. Nawet naczelny redaktor ostatnio kupuje. Gdyby przestał, pismo mogłoby zrobić plajtę.

T.K.: — Rozumiem, gratuluje.

W.J.: — Nie ma czego. Dziękuję za rozmowę.

Mimo wszystko postanowiliśmy jednak skorzystać z oferty profesora. Zrobiliśmy to spontanicznie i bez namysłu, albowiem nie gorzej, tak czy owak, nie może nas już spotkać. Mamy nadzieję, że zostanie nam to wybaczone. Szkoda tylko, iż dzieło nie jest ani trochę oryginalne.

„WIELKI SŁOWNIK POWIEDZONEK DIABELSKICH”, zebranych i alfabetycznie ułożonych przez prof. dr. hab. Tymiana Kusęgo, członka licznych towarzystw, koterii i ugrupowań naukowych, a także wielu różnych partii politycznych.

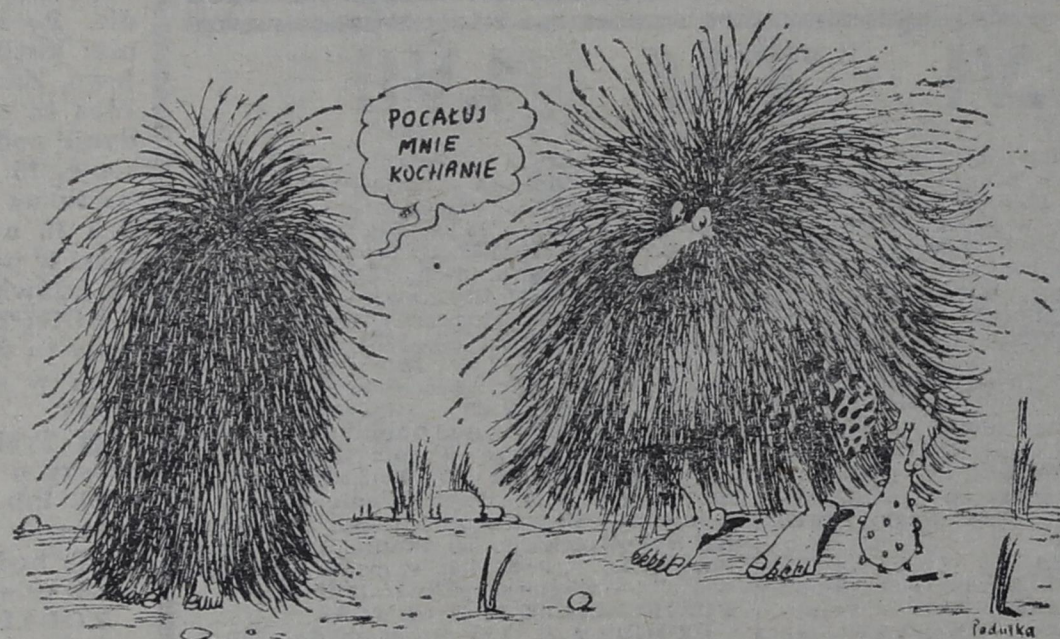
Rozdział pierwszy
A bodaj cię diabli wzięli!
Bogatemu diabeł dzieci kolysze.
Bodajbyś diabła zjadł!
Boi się jak diabeł święconej wody.
Diabelska sztuczka.
Diabli nadali!
Diabli z tobą (wami)!
Diabło trudna sprawa.
Diabeł nie śpi.
Diabła warto!
Diabli wiedzą.
Diabła tam!
Diabelskie nasienie.
Diabelski pomiot.

Diabelski pomysł.
Do diabła!

Rozdział drugi

Idź do diabła!
Ki diabeł?
Kiedy kur pieje, diabeł truchleje.
Niech to diabli wezmą!
Niech cię (was) diabli wezmą!
Nie taki diabeł straszny, jak go malują.
Po diabła?
Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.
Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.
W starym piecu diabeł pali.
W starej wierzbie diabeł mieszka.
A nek s
Co za diabli?
Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.
Posłowie

Słownik ten powstał w wyniku wieloletnich, zmudnych i pracochłonnych badań. Autor zdaje sobie jednak sprawę z faktu, że nie jest kompletny. Każde nadesłane powiedzonko zostanie umieszczone w następnym wydaniu, zaś nadsyłający otrzyma stosowne honorarium.



próba interpretacji

Komentarz nr 1

„A BODAJ CIĘ DIABLI WZIĘLI!”

Powiedzonko to pochodzi z przełomu trzynastego i czternastego stulecia. Jako pierwszy użył je Jasko z Piątnicy, zwracając się w ten sposób do Zbyszka z Kisielnicy. Obaj należeli do stanu żebraczego, gdyż już wtedy dawały się zauważyć oznaki i symptomy nieuchronnie nadciągającego kryzysu. Ówczesny dziejopis i kronikarz łomżyński, Wincenty Dłubek, zwany również Anonimem Mniejszym, w anonimowym liście do Magistratu pisał, między innymi: „[...] pokłóciwszy się ze sobą o półgrosza jałmużnej Jasko z Piątnicy powiada: — A bodaj cię diabli wzięli za moją krzywdę! — co dowodem jest widowym, iż tenże heretykiem jest a zaprzańcem. Tedy spalił go trzeba na stosie jak najrychlej, zaś powstały tym sposobem dziadowski wacat Wincentemu Dłubkowi ofiarować, którym ni jak z pisaną wyżył nie może i głodem stante pedes przyzmiera”.

Inne ówczesne źródła podają, że była to jednak celowa i zamierzona prowokacja Wincentego, który chciał w ten sposób pozbyć się konkurenta, by zająć jedyną intratną w tamtych czasach posadę. Badania w toku, nie ustaliłem jeszcze do końca, kto w tym sporze ma rację.

Komentarz nr 2

„BODAJBYŚ DIABŁA ZJADŁ!”

Powiedzonko to powstało w czasie potopu szwedzkiego. Jak wiadomo, najeźdźcy złupili nas doszczętnie, co zaś zostało, sami żeśmy rozkradli. Z tych też przyczyn ówczesne władze musiały wprowadzić reglamentację artykułów żywnościowych w tym soli, gorzałki i wołowiny. Mięso podzielono wtedy na cztery gatunki: I — mięso, II — podroby, III — kości, IV — rogi i kopyta. Gatunek pierwszy sprzedawano niemal wyłącznie (były pewne odstępstwa) w systemie eksportu wewnętrznego, najchętniej za szwedzkie korony. Wiadomo bowiem, że dobrze jest mieć jak najwięcej pieniędzy swojego wroga. Gatunek drugi przysługiwał tylko zaśluzonym, trzeci przeznaczono dla młodych małżeństw, czwartym pożywiała się reszta ludności.

Nie każdy mógł być młodym małżonkiem, ale każdy chciał się zasłużyć, żeby znaleźć się w grupie zasłużonych i otrzymać kartkę z symbolem D-2. I właśnie ci, którym się to — z różnych względów — nie udało, mówili do swoich zasłużonych pobratymców: „Bodajbyś diabła zjadł!” Było to życzenie, aby osobnicy posiadający drugą grupę powrócili do czwartej, konsumującej same kopyta i rogi.

